



№ 39.

Prenumerata w Warszawie  
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,  
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 23 września 1876 r.

Prenumerata  
na prowincyi i w cesarstwie  
kwartalnie rs. 3.

Tom II.

**Treść numeru.** Jan Jasiński (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Miodość (drzeworyt.) — Przejazdka po Kurlandyi (z 5 drzeworytami). — Korespondencya ze Lwowa. — Luźne listki. — Szwedkie dziecko, powieść (dalszy ciąg). — Szachy — Rebus. — Rysunki humorystyczne Franciszka Kostrzewskiego (z drzeworytem). — Józef Szermentowski (z drzeworytem). — Lazaret wojskowy w Niszu (z drzeworytem). — Kopernik jako ekonomista (dalszy ciąg). — Burza (wiersz). — Wiktor Cherbuliez (dokończenie). — Sztuka włoska w epoce odrodzenia (dalszy ciąg). — Wpływ ciśnienia powietrza na istoty żyjące. — Stefan Lawrence, powieść (dalszy ciąg).

## JAN JASIŃSKI.

Nazwisko Jasińskiego ściśle jest związane z dziejami warszawskich teatrów.

Pięćdziesiąt lat temu, w dniu 19 września 1826 r., wystąpił on poraz pierwszy na scenie ówczesnego teatru narodowego, w roli Zeida, w tragedyi Woltera „Mahomet.“

Dziś więc jest on (z wyjątkiem pani Halpertowej) najstarszym z pracowników sceny warszawskiej, która czynnemu jego współdziałaniu, a następnie umiejętnemu kierownictwu, zawdzięcza wiele świetnych chwil, jakimi zasłynęła, i obfitą siejbę, z której wyrosły piękne artystyczne plony, dziś jeszcze zbierane.

Piętnaście lat minęło, jak się Jasiński odsunął od sceny, a po dziś dzień jednak dla artystów dramatycznych teatru warszawskiego zdanie jego stanowi wyrocznię, a rada każda którą zechce udzielić uważana jest za stanowczą w murach teatralnych; gdy zaś w rozwiązaniu jakiego zadania artystycznego zdarzy się trudność ciężka do przełamania, uznana już przez wszystkich wszechwiedza Jasińskiego na tém polu za jedyny zbawienny środek w tej mierze starczy.

Jasiński, wyszedłszy ze szkoły Kudlicza i objąwszy następstwo po tym najdzielniejszym filarze sceny polskiej jako reżyser, a następnie dyrektor obu teatrów warszawskich, oraz nauczyciel szkoły dramatycznej, sprawował zarazem przez lat 25 obowiązki artysty dramatycznego.

Przez ten czas w sześciuset różnych rolach występował on na scenie 5,525 razy, czyli przecięciowo 221 razy rocznie. Olbrzymie te cyfry, dla których w rocznikach wszystkich teatrów europejskich brak nawet punktu porównania, są wymownym dowodem niezmiernie wielkiej pracy, oraz wyjątkowego zamiłowania do sztuki, które sędziwy jubilat po dziś dzień w swoim sercu zachował.

A dodajemy do tego, że przez cały prawie ten czas Jasiński, sprawując z początku zastępczo, później z urzędu obowiązki reżysera dwóch teatrów i nauczyciela (bezpłatnie) szkoły dramatycznej, wykończył zarazem 255 prac dramatycznych oryginalnych, naśladowanych i tłumaczonych,

Doprawdy, przy ugrupowaniu tych cyfr, które dla zwyczajnych pracowników wydawać się mogą prawie nieprawdopodobnymi, zapytać się przychodzi, z kąd wyjątkowe jednostki biorą siły do tak gorączkowej działalności, której zakres zdaje się przechodzić zwykłą miarę możliwości ludzkiej?

Dodać bowiem należy, że oprócz prac powyżej wymienionych, Jasiński posiada jeszcze mnóstwo rękopisów, które w chwilach wolniejszych od zajęcia (kiedyż znalazł te chwile?) przygotował do druku. Wymienimy tu pomiędzy innymi kilka tomów życiorysów znakomitych artystów, pamiętniki z podróży, z opisaniem teatrów Paryża, Londynu, Dreżna, Berlina, Wiednia, Florencyi, Turynu, Medyolanu, Rzymu i t. p., wraz z poglądem krytycznym na dzieła tam przedstawiane i grę artystów, przeszło tysiąc artykułów dotyczących się reżyserii teatrów, Teoryą sztuki dramatycznej, zakończoną treściwym rzutem oka na działalność znakomitszych autorów scenicznych i nakoniec około 40 prac dramatycznych oryginalnych, komedij, dramatów i librettów do oper, napisanych już po opuszczeniu służby. Obok tego był on współpracownikiem wielu pism warszawskich, jak Przyjaciela dzieci, Zórzy, Bazaru, Tygodnika ilustrowanego, Bluszczu, Wienca, Kuryerów warszawskiego i codziennego etc.

A nie na samą tylko scenie warszawskiej kończyła się ta działalność, która tyle naraz kierunków obejmowała. Przy uorganizowaniu się nanowo teatru krakowskiego, pod zwierzchnictwem hrabiego Skorupki, Jasiński przyjął przewodnictwo arty-

styczne tego teatru, w którym wielu znakomitych dziś artystów, jak pani Modrzejewska, p. Rapački i inni dali się poznać szerszemu kołu publiczności, a pod umiejętnym jego kierunkiem w niespełna rok czasu położono dla towarzystwa artystów krakowskich trwale podstawy powodzenia, którym dotychczas się cieszy.



Jan Jasiński. (Podług fotografii Mieczkowskiego w Warszawie).

230

z których znaczna część cieszyła się długim powodzeniem na scenie warszawskiej. Prace te dały przeszło 5,000 przedstawień, a dodać należy, iż wiele z nich podjętych było bezpłatnie, gdyż dopiero w r. 1842 zarząd teatrów warszawskich przeznaczył rs. 7 kop. 50 za akt tłumaczonego, a rs. 15 za akt oryginalnego utworu.



nietwa wartość już nietylko podręcznika, ale dzieła źródłowego, w którym zarówno profan, jak i uczony niejednak ciekawy i pouczający znaleźć mogą szczegóły. Wydawnictw w ten sposób prowadzonych potrzeba nam jaknajwięcej, i serdecznie też cieszymy się z powodzenia i poparcia, które Encyklopedia rolnictwa podobno w kole ziemian naszych sobie zjednała.

I oto znowu zapis dobroczynny. Ciepło serdeczne nie wystygła w piersiach tych, którzy miłość bliźniego i wiarę w jedno spajają uczucie.

Ś. p. Józefa z Rutkowskich Sierakowska, zmarła w dniu 12 b. m. w Chełmicy Wielkiej, zapisała na cele dobra publicznego 300,000 rs. Z kapitału tego część ma być obróconą na fundusz stały stypendyalny, któryby corocznie przynosił 12 stypendyów, po 150 rs. każde. Inna część ma być obróconą na budowę kościoła w Chełmicy, pozostałość zaś trzecia posłuży do ufundowania dwóch domów przy szpitalu w Ciecchocinku i pokrycia innych zapisów dobroczynnych, wyrażonych w testamentach.

Piękny to pomnik własnej wystawiony pamięci, piękniejszy stokroć, że obléwać go będą gorące łzy wdzięczności tych, którzy pod cieniem jego ukoją cierpienia i wychowają się na ludzi społeczeństwu pożytecznych.

Muzeum przemysłowe ma w ustawie swojej zastrzeżone prawo urządzania odczytów. Przywilej to bardzo ważny, z którego umiejętnie korzystanie może nietylko cel istnienia muzeum o wiele podnieść, ale i oddać rzetelną przysługę naszej klasie roboczej.

Zacny promotor odczytów popularnych, p. Aleksander Makowiecki, zgłosił się już do zarządu z projektem urządzenia całej seryi takich odczytów. Szlachetna ta gotowość służenia sprawie oświaty natrafiła jednak na chwilowe przeszkody. Dwie projektowane wystawy w muzeum odwołano sprawę odczytów do grudnia.

Ponieważ kwestya ta przechodzi w fazę niezmiernie dla niej przyjazną, ponieważ odczyty popularne stać się mają rzeczą zwykłą, nie natrafiającą na żadne już przeciwności, ponieważ owszem znajdują w muzeum opiekę i poparcie, — czyby przeto nie należało pomyśleć zawczasu nad wynalezieniem środka, zapomocą którego dałoby się zapewnić odczytom tym jaknajwiększą pożyteczność?

Mamy tu na myśli nade wszystko staranność w wyborze prelegentów, pewną surowość w dopuszczaniu do odczytów publicznych, któraby zarazem sprowadziła i troskliwość w wyborze treści. Nie zajdzie tu potrzeba oglądania się na określony z góry liczbę odczytów, będzie więc można urządzać ich seryą, względnie do potrzeby i wymagań obranego przedmiotu. Ułatwi to wielce i podniesie wartość takich popularnych lekcyj, których wpływ korzystny oceniono już wszędzie, a nawet poczęści i u nas.

Ze smutkiem jednakże przychodzi nam rzucić pytanie, gdzie muzeum odczyty swoje urządzać będzie. Brak odpowiedniej sali staje tu na zawadzie zarówno obecnie, jak i dawniej, a jakkolwiek nie zbywa nam na przedsięwzięciach, kłęczących teatry i cyrki, zbudowanie sali na odczyty nie przestało dotychczas być tylko... pobożnym życzeniem.

Bezstronne sądy cudzoziemców, a szczególnie krytyków niemieckich, o naszych znakomitościach są rzeczą tak rzadką, że każdy pod tym względem objaw dobrej woli i sprawiedliwości z rzetelną zaznaczamy radością.

W jednym z ostatnich numerów wychodzącego w Wiedniu pisma tygodniowego p. t. „Die Heimat“, znajdujemy życiorys ś. p. Aleksandra hr. Fredry, skrócony przez p. Henryka Blumenstocka. W pracy tej, nader sympatycznej dla wielkiego komedyopisarza, lubo dosyć pobieżnej, autor utrzymuje, że Fredro uczynił to samo dla piśmiennictwa

polskiego, co niegdyś Molière zdziałał dla Francuzów.

„Może Molière — powiada dalej p. B. — umiał lepiej zachować miarę między ściśle narodowymi, a ogólnie ludzkimi właściwościami osób działających; może niektóre komedye Fredry mają piętno zbyt wyłącznie polskie, ale dowód to właśnie oryginalności poety, którego zadaniem było odzwierciedlać swym ziomkom wybitniejsze typy zamierających już postaci.

„Zresztą pomiędzy licznymi utworami Fredry niebrak i takich, które świadczą że poeta, obok daru mistrzowskiego uwydatniania odrębności narodowych, posiadał także rzadką znajomość ludzi w ogólności, a w świetnej charakterystyce, w wykazywaniu ukrytych sprężyn i pobudek działań ludzkich, w bezwzględnej wreszcie a trafnej zawsze obnażaniu błędów i śmieszności własnego społeczeństwa — nie miał sobie równego.“

Na zdanie o Fredrze niemieckiego pisarza, który zdaje się być z literaturą naszą dość dobrze obeznanym, z małemi zastrzeżeniami, chętnie się godzimy i wdzięczni mu szczerze jesteśmy, że chociaż w krótkim zarysie, starał się obeznać swych ziomków z poważną postacią sędziwego ojca komedyi naszej.

## Przegląd polityki zagranicznej.

22 września.

Urzędowe warunki, stawione przez Portę w odpowiedzi na żądania mocarstw, streszczone są w następujących punktach: 1<sup>o</sup>) ks. Milan ma udać się do Stambułu i złożyć hołd sułtanowi; 2<sup>o</sup>) armia serbska ograniczać się ma odtąd na sile 10,000 ludzi i 2 bateryj; 3<sup>o</sup>) Turcy zajmą te twierdze, które zajmowała w Serbii przed 1867 r.; 4<sup>o</sup>) zbudowane po tym roku twierdze serbskie mają być zburzone; 5<sup>o</sup>) Serbia zapłaci albo kontrybucyą wojenną, albo zwiększy daninę; 6<sup>o</sup>) zbudowaną będzie kolej żelazna, łącząca Serbię z linią turecką. — Podając te warunki mocarstwom, rząd turecki oświadczył zarazem, że pozostawia mocarstwom ułożenie podstaw pokoju i zgadza się na dziesięciodniowe zawieszenie broni. Jakoż irade sułtańskie nakazuje dowódczom tureckim, aby powstrzymywali się od działań wojennych przez dni dziesięć, poczynając od d. 15 b. m.

Warunki podane przez rząd turecki nie mogły oczywiście podobać się ani rządowi europejskim, ani opinii publicznej. Paragraf dotyczący armii i twierdz serbskich, w razie jego wykonania, stanowiłby przedmiot ciągłych z Turcyą swarów i nie zgadza się z temi przywilejami, jakie Serbii przez traktat paryżki nadane zostały.

Co się zaś tyczy hołdu i kontrybucyj, to Turcy nie odnieśli przecie dotąd takich korzyści, aby dziś już miały prawo podobnego żądać upokorzenia. Oświadczenie że los innych Słowian poprawionym zostanie przez wprowadzenie ogólnych w państwie tureckim reform, niewiele jest warte. Okrucieństwa dokonane w Bulgarii, Bośni, Hercegowinie i Serbii aż nadto przekonywają, że Turcy niezdolni są do zaprowadzenia sprawiedliwej dla chrześcian administracji. Niema więc wątpliwości, że mocarstwa nie zgodzą się na warunki Porty i że ta ostatnia uleść będzie musiała ogólnemu naciskowi dyplomacji.

Indep. Belge odebrała w d. 19 b. m. telegram z Paryża, donoszący że Porta już złagodziła swe warunki. Zmiany w nich polegają na tém, iż rząd turecki uzna Milana bez inwestytury, że wypłatę kontrybucyj rozkłada na lat dziesięć, że aż do jej spłaty zajmować będzie dwie w Serbii fortece i że wreszcie w Serbii utworzone zostanie nowe ministerjum. Nie wiemy dotąd, o ile wiadomość ta zasługuje na wiarę i jak ją przyjmą mocarstwa; lecz to jest pewnym, że zarówno pierwsze, jak drugie warunki odrzucone zostaną przez Serbów, którzy bynajmniej ducha nie tracą i tylko na żądanie mocarstw do złożenia broni skłonici się dadzą. Za dowód tego posłużyć może telegram z A-

leksinaczu, d. 17 b. m. w Belgradzie otrzymany. Jest to depeza generała Czerniajewa, który zawiadamia, że w d. 15 b. m. armia serbska okrzyknęła ks. Milana „królem Serbii“ i że osobna deputacya wojskowa udaje się do Belgradu, celem wyrażenia księciu życzeń armii. Wprawdzie telegram z Wiednia z d. 19 utrzymuje, że ks. Milan i gabinet serbski odrzucili propozycyę armii, lecz w każdym razie manifestacya ta wykazuje, jaki duch panuje w szeregach serbskich i że zadosyćczynienie życzeniom wojska i narodu nie jest tak łatwym, jak się to Turkom wydawać może.

Bądźco bądź, mamy obecnie faktyczne zawieszenie broni. Rozpoczęła się praca dyplomatyczna, przedewszystkiem zaś usiłowania, aby rozejm na dłużej niż na dziesięć dni mógł być utrzymanym. Według depezy paryżkiej, mocarstwa układają się z Portą o zawieszenie broni na czas jednego, a według innych źródeł nawet i dwóch miesięcy. Jeżeli Porta zgodzi się na to, a nie sądzimy aby odmówić śmiała, sprawy wschodnie załatwione zostaną na drodze pokojowej, a więc bez dalszego krwi rozlewu. Są to wreszcie przypuszczenia tylko, położenie bowiem tak jest wyteżone, obie walczące strony tak rozognione, iż nie stano wczęgo wywróżyć się nie da. Tak na przykład telegram z Belgradu z d. 19 podaje raport Czerniajewa, donoszący że Turcy atakowali jego armię w d. 17 wieczorem, pomimo zawieszenia broni. Być może iż był to atak pojedynczego oddziału, którego dowódca nie odebrał jeszcze rozkazu powstrzymania się od działań, zawsze jednak podobne wysoki grozą niebezpieczeństwem tymczasowemu pokojowi.

Depesze ostatnie donoszą, że ks. Milan zawiadomił Czerniajewa, iż wdzięcznym jest armii za jej przywiązanie, lecz nie może przyjąć godności królewskiej; według ustawy bowiem armia nie ma prawa wprowadzać zmian do ustroju państwowego.

*Telegramy ostatnie. Zimony, 20 września.* Urzędowe. W d. 17 Turcy chcieli przeprowadzić się za Morawę. Pateron odparł nieprzyjaciela. Pod Jankową Klissurą Turcy pobici. Serbowie zajęli pozycyę tureckie.

*London, 20 września.* Według raportów, ogólna liczba chrześcian zamordowanych w Bulgarii wynosi 12,000. Turków zabito 200. Turcy spalili 78 wsi.

(Ind. Bel. Sch. Ztg. Jour. des Deb. Nord. Times).

Na kamień grobowy dla ś. p. Romana Zmorskiego nadesłano na ręce nasze: bezimiennie k op. 20; od dra J. F. Nowakowskiego w Warszawie rs. 5. — W oczekiwaniu dalszych ofiar, kwoty te, wraz z otrzymanymi poprzednio ósmiu rublami, złożyliśmy redakcyi, Biesiady literackiej.“



Pani Maryi M. w Ekaterynosławiu. Zbyt wielki mamy zapas, abyśmy z uprzejmiej Jęj propozycyji nateraz korzystać mogli.

Panu Wojciechowi z pod karmelitów. Rebus zbyt zawikłany i nieprawidłowy.

Panu Gustawowi w Warszawie. Więrsza p. t. „Przeznaczenie Zbigniewa“ drukować nie będziemy. Na sąd o tym utworze nie tutaj jest miejsce.



**Młodość.** Kopia obrazu Aubert'a. Rysował Gołębiowski.

## Przejażdżka po Kurlandyi, odbyta w r. 1873.

Skręślił Ścislaw S.

(Dalszy ciąg).

Słownko o owęj tamie. Fale rygskiej zatoki były i są nadzwyczaj niegościnnie; niepokoiły podczas burzy statki chroniące się w Boldera, a mając na dnie swém masy lotnego piasku, pchały takowy bezustanku w nazbyt szerokie ujście Dźwiny i tworzyły tęp samém ławy piaszczyste, utrudniające nieskończenie żeglugę, na czém, ma się rozumieć, tracili najwięcej Ryzanie. Żeby złemu zaradzić, od prawego brzegu rzeki zbudowano głęboko w morze sięgającą tamę kamienną, zagradzając nią ujście rzeki, z pozostawieniem jęj tylko wąskiego przejścia przy lewym brzegu, w które tłocząc się, wody Dźwiny same odpowiednią głębokość koryta podtrzymują. Na krańcu tamy, magnuskolską zwanęj, w morze wsuniętej, stoi mała morska latarnia, z żelaza również zbudowana, nadbrzeżnym statkom ujście rzeki dokładnie oświe-

znam się nawet że Bałtyk lepiej wygląda zdaleka, w imaginacyi lub z wyżyn latarni, jak w rzeczywistości, bo i cóż na nim widzisz? Siną wodę wokół, zdala ławy piasku, za niemi nizkie iglaste lasy; oto tło obrazu, nad którym ponad tobą ciemnieje szare, smętne niebo północy, mające wiecznie pomarszczone chmurami czoło; dalej mowy,

teka. Przy niej do r. 1861 istniała szkoła parafialna, sławna niegdyś działalnością Herdera. Teraz, o zgrozo, urządzono tam olbrzymie składy lnu i siemienia.

Zadumany tak nad tęp, co zowią „duchem czasu“ i nad jego dziełami, znalazłem się przed niezgrabnym, ciężkim i posepnym zamkiem, zbudowanym między r. 1494 i 1515 przez mistrza Waltera von Plattenberg, którego pamięci ta niefortunna zbiórka murów dotychczasowe swoje istnienie zawdzięcza, inaczej pewnoby ją dawno na browary rozebrano. Uchodzę z tego miejsca, a zatrzymawszy się chwilę przy katolickim kościele z r. 1783, dochodzę do ślicznego anglikańskiego kościółka, którego budowa w czysto gotyckim stylu, piękną, szczególnie od strony Dźwiny, przedstawia całość. Od anglikańskiego kościoła dostalem się przed dom Czarnogłowych (Schwartzhäupterhaus). Jest to gmach zbudowany przez niejakiego Dietricha Kriege 1359 r., a oddany do użytku masonskiej loży 1460 r. Oryginalny ten dom ma front ku górze półokrągłemi zębami zwiężający się, co mu pozór synagogi lub klasztoru nadaje; widać na nim wizerunek św. Maurycyego, patrona „czarnych



Zamek w Rydze.

232

rybacy i statki, przed którymi uciekać musisz, by ci niezadanej kąpieli nie sprawiły. W dodatku owłada mną dziwne uczucie: staje się naprzemian to złym, to czułym, jakby wzruszonym, płaczą mi się po głowie wspomnienia to miłości i szparagów, to sałaty i przyjaźni, to angielskich ekonomistów i maszynistów, wraz z angielskim bifsztykiem. W rezultacie przychodzę do przekonania, że jestem nic więcej, tylko fatalnie głodny.

Śpieszmy przeto do ludzi, do życia i ruchu, a przede wszystkim do restauracyi. Po upływie godziny jesteśmy w Boldera, a dodawszy ciała sił nowych, wracamy do Rygi, na starym kołowym parowcu. Do zachodu słońca jeszcze parę godzin zostało; pożegnawszy więc towarzysza, postanowiłem do nocy już wędrować po mieście i oglądać stare jego budowle. Jestem z szacunkiem dla pomników i czynów przeszłości, z nich bowiem powstała terażniejszość nasza; zaczynam tedy przegląd od najstarszych dzielnic i gmachów. Schimide, Sünder i Marstall-Strasse są w najdawniejszej części miasta. Tu wznosi się wspaniały starożytny tum, zbudowany jeszcze w r. 1204; obok niego stoi budynek, w którym pomieszczoną jest biblio-



Dom Czarnogłowych w Rydze.

233

tlająca.

Wyplniliśmy na morze, ale łódź nasza wielka, zatoka spokojna, żadnych przeto nie doświadczałem wstrząśnień i kołysań, które mnie w przejeździe podczas silnej burzy z Kronsztatu do Oranienbaumu na zatoce fińskiej wiele strachu nabawiły, a wiozącym mnie dwóm majtkom przyjemną sprawiły rozrywkę. Siedząc naprzeciw mnie, wybuchali śmiechem, bo widzieli jak się wysilam, by we wskazanym przez nich kierunku stér utrzymać, i jakie przytęp robiłem grymasy, kiedy mi fale twarz zalęwały i gwałtem stér wyrwać usiłowały. Tę razę tylko krzyk mowy, łoskot wypływającego na morze parowca, lub warczenie chorągiewek i flag na żaglowcach dostarczały nam rozrywki i pola ograniczonego do obserwacyi. Przy-



Tum w Rydze.

834

glów.“ Zresztą zewnątrz nie osobiwego; wewnątrz zato zdobi go galerya panujących Infantom monarchów szwedzkich, od Gustawa Adolfa do Karola XII, i rossyjskich, od Piotra Wielkiego do Aleksandra II.

Naprzeciw tego przybytku z monarchszemi wizerunkami, na drugiej stronie niewielkiego placu, wznosi się ratusz miejscowy, budowla wielka, ciemna, niezdarna, w stylu żadnym, odznaczająca się tylko tęp, że w niej się muniypalne sławnej przeszłości władze miasta zbierają. Byłem w kłopotcie, gdzie zwrócić swoje kroki, gdy przypomniałem sobie, że płynąc od Boldera, najpierw zobaczyłem nad Rygą wysoko w niebo sięgającą wieżę kościoła św. Piotra, z którą trzeba się było koniecznie poznać. Ruszam więc ku niej. Rzeczywiście piękna i wyniosła, odnowiona r. 1746, podług



Ratusz w Rydze.

235





## SZEWCZKIE DZIECKO,

POWIEŚĆ

przez

Teodora Tomasza Jeża.

(Dalszy ciąg.)

Stała kwestya, w jaki to zrobić sposób. Sposób nastęrczył się sam przez się. Z majstrów, u których Józef czeladnikował, kilku oddawało synów do szkół. Do nich więc udał się po radę i wskazówki. U nich atoli zyskał niewiele, trafił bowiem na takich, których synowie uczyli się nie na to, ażeby się doskonalić, ale na to, ażeby paniczami zostać. To się zdarza nader, niestety! często i nauka krzywo idzie, doprowadzając do rezultatów najsmutniejszych. Paniczowanie zapomocą nauki jest prostytutką w rodzaju swoim. Takich co cel podobny sobie wytykają i do niego dążą, lepiej niczego nie uczyć. Niech paniczują pociemku! Józef przeto, natknawszy się na takich, poszedł po rozum do głowy i, skorzystawszy z okazji naprawiania rądlów profesorskiej pewnej, zakochał się do profesora który, szczęściem, był nie pozytywką, wygrywającą sztuczki, nabijane kole-

czkami na walecu, obracającym się zapomocą kręcenia korbą, ale oraz człowiekiem w wyższym, szlachetniejszym wyrazu tego znaczeniu. Profesorowie tego rodzaju dosyć są rzadcy; trafiają się jednak. Ten, do którego udał się Józef, wysłuchał go najprzód uważnie i następnie wyłożył mu procedurę całą, stanowiącą formalną naukę stronę, słowem, udzielił rad i wskazówek wszystkich, jakie potrzebne były. Co więcej, kazał sobie Kazia przedstawić.

Kaziowi, gdy mu brat z rozmowy swojej z profesorem zdał sprawę, wydało się, że profesor ten jest to ów człowiek, o którym roił, że go nauczy

wszystkiego. Doznał jednak pod względem tym zawodu, który wynagrodziła mu sownie zachęta z ust profesora, zachęta odmienna od tej, jaką dzieje wkładają w usta Stefana Batorego. Znane są słowa monarchy tego: „*Disce puer, et faciam te mościapanie*“ — słowa właściwe może z punktu zapatrywania się na naukę Stefana Batorego, lecz niewłaściwe z punktu ludzkiego. Ludzkości nie o „mości panów“, ale o ludzi pożytecznych chodzi. Profesor pokazał chłopcu w perspektywie pożyteczność nauki, piękność jej i promiennosc, wykazał jednak zarazem i ciernistość drogi, prowadzącej do świątyni wiedzy, z powodu że droga

owa nie jest jeszcze przetworzoną dla wszystkich wogóle, lecz dla tych tylko, co mają za co obuwie podkuć sobie. Wyglądało to tak, jakby chciał Kazia od nauki odstąpić. Dla Kazia atoli było to zachęta. Chłopak znajdował się pod wpływem szalu wiedzy, dla której gotów był na wszystko, bez względu na trudności, przeszkody i przeciwności, o których nie miał wyobrażenia dokładnego. W tym względzie dola mu posłużyła. Józef przeszkody pousuwał i Kazio wstąpił do klasy pierwszej.

Rok upłynął. Przyszło do egzaminu rozstrzygającego o promocjach. Kazio do klasy drugiej przeszedł pierwszym uczniem.

Pierwszym uczniem był w klasie drugiej, pierwszym w trzeciej, czwartej, piątej, szóstej. Egzamin każdy był

## Rysunki humorystyczne

Franciszka Kostrzewskiego.



Przyzwyczajenie jest drugą naturą.

236

Dziedzic. Cóż tam znowu nowego?

Stangret. Proszę jasnie pana, a to bułanek strasznie bokami robi. Żeby ino nie padł.

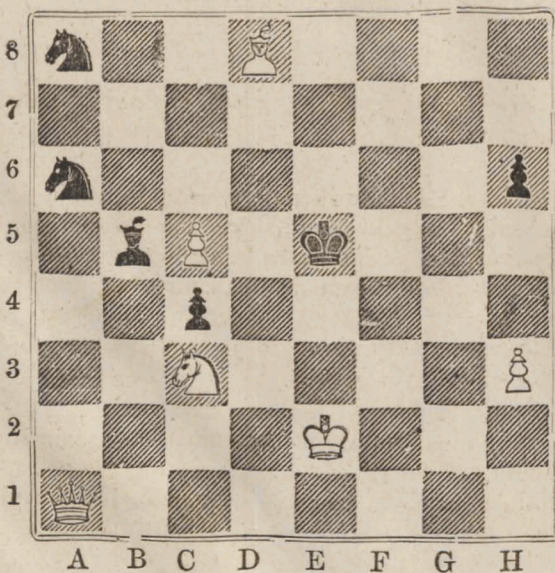
Dziedzic. Nic mu nie będzie... przyzwyczai się, mój Michale. Ja już od kilku lat robię bokami, a jakoś się dotąd trzymam.

## SZACHY.

ZADANIE XXXIV.

Białe zaczynają i dają mata za 3 posunięciami.

Czarne.



Białe.

NAKŁAD JÓZEFA UNGRA.

## Emigracja chłopska.

OBRAZ DRAMATYCZNY LUDOWY

W PIĘCIU AKTACH,

napisał

Władysław Ludwik Anczyc.

Uwieńczony nagrodą ludową na konkursie krakowskim  
1876 r.

Utwór ten, dzielnego pióra, cieszący się bezprzykładnym powodzeniem na scenach polskich, dotyka bardzo ważnej sprawy, trapiącej ludność Galicji i w. ks. poznańskiego. Żywił ludowy, odtworzony ze znajomości niepospolitą ludu, odgrywa tu rolę pierwszorzędą, i na jego to tle rozgrywa się smutny dramat, który w sztuce Anczyca przewija się w mnóstwie scen i sytuacji, pełnych barwy i życia. Pierwszy to dramat ludowy w naszej literaturze, a jak to wogóle krytyka uznała, dramat celujący wyborem treści, żywotnością i artystycznym obrobieniem.

CENA:

w Warszawie . . . . . kop. 40.  
z przesyłką do cesarstwa i na prowincyą „ 50.

Adres: Józef Unger, Nowolipki, nr 2406 (nowy 3)

REBUS.

237

Znaczenie rebusa umieszczonego w nr. 38.  
Komu szczęście idzie, to drzwiami i oknami.



dla niego tryumfem nowym, dodawanym do poprzednich, a zasłużonym nie dlatego jeno, że umiał lepiej niż inni, lecz dlatego głównie, że rozumiał. Pamięcią przewyższał go z kolegów niejeden, pojętnością żaden; a to dlatego, że wnikać się starał w znaczenie danych naukowych najsuchszych, dopomagając pamięci rozważą, która mu w każdej nauk gałęzi ukazywała punkt jakiś ogniskowy, i wyobraźnią, zapomocą której uprzytomniał sobie nauki, nadawał im ruch i życie.

Brat pomagał mu. Z Józefem mieszkał, Józef go żywił i odziewał, czuwając nad nim z troskliwością ogrodnika, hodującego rzadką roślinę, tak iż powiedziecby można, że pracował na niego. Kiedy Kazio kończył klasę piątą, Józef wyzwolił się na majstra i założywszy warsztat w domku, w którym z bogatym naszym najpierwszą zabrał się znajomość, brał robotę na własny rachunek. Niosło mu to dochody znaczniejsze trochę niż dawniej, nie tak atoli doniosłe, ażeby zaspokajając mógł koszta z dniem każdym wzrastające, jakich uczenie się Kazia wymagało. Potrzeby przybywały. Same książki pociągły za sobą wydatki, którymby dochód Józefa nie sprostał, gdyby Kazio od czasu klasy trzeciej nie otworzył sobie źródła dochodów własnych w lekcjach prywatnych, dawanych uczniom klas niższych. Wynajmował się na korepetytora i był poszukiwany, rozumiejąc bowiem, umiał wykladać. Dzień każdy przynosił mu złotych kilka, które atoli nie trzymały się jego kieszeni. Co zarobił, to wydawał. Działo się z nim wedle przysłowia: „im dalej w las, tym więcej drewna” — w miarę jak się posuwał w naukach, wzmagało się w nim pożądanie wiedzy, której nie zadowalały dzieła elementarne. Te służyły mu jeno za wskazówki i za ich pomocą odkrywał autorów; ci zaś prowadzili go do źródeł. Ciekawość za przewodniczkę mu służyła i to sprawiało, że lekcją każdą, jaką w klasie zadawano, wystudowywał z gruntu, odnosząc w ten sposób z nauk korzyść rzeczywistą.

Widzieliśmy go zresztą przy nauce.

Nauka atoli taka, aez korzystna wielce, zabięrała mu czas cały. Dnie spędzał w klasie i na godzinach; dla niego zaś samego pozostawały noce, którym od spania wykradał czasu coraz to więcej i więcej, tak dalece że wkońcu musiał zainterweniować Józef i wymóżyć na nim przyrzeczenie nie

ła na niego duchy pół postacią uroków, od których oderwać się nie był w stanie.

Dnia onego, który upamiętnił Jędręk puszczonej Nuchimowi finfą, Kazimirz powrócił do domu o ósmiej wieczorem. Niemałym było zdziwienie jego, gdy wszedłszy do izby, zastał Józefa. Józef, zwyczajem rzemieślniczym, wieczory w knajpie spędzał. Tym razem jednak złamał zwyczaj. Zamiast siedzieć przy kufle piwa, leżał na wznak na łóżku, z rękami pod głową i obecność swoją głośnym oznajmił chrząknięciem.

— Aa?... — zawołał Kazimirz.

— Nie spodziewałeś się mnie i może mi nierad jesteś?...

— O tém czym rad, mowy być nie może, nie spodziewałem się jednak... Cóż cię w domu trzyma?... czyś nie chory?... — zapytał troskliwie.

— Jeszcze co!... — odparł Józef, jakby zapytanie to ujmę mu na honorze czyniło. — Zostałem dlatego, że chcę rozmówić się z tobą we cztery oczy...

Wstał i usiadł obok brata.

— Cóż mi powiesz?... — zapytał Kazimirz uprzejmie.

Józef odchrząknął i zaczął:

— Powiem ci prosto z mostu, że twoje nocne siadywanie jest dla mnie zmorą, która mnie straszliwie trapi... Nie, tak być nie może... Praca taka psu na budę się nie zdała!... Nie doprowadzisz jej do końca... Nie, to być nie może...

— Czegóż chcesz?... — przerwał Kazimirz.

— Albo pluń na naukę, albo daj pokój tym korepetycyom, co ci dzień cały zabierają i spać w nocy nie dają.

Kazimirz ze zdziwieniem w oczy bratu popatrzył.

— Ot co jest.. i — ciągnął ten dalej — na co ci te korepetyce?...

Na zakupno książek?... Posłuchajże-mnie. Zarabiasz nie więcej, jak rubli sto rocznie... sto, może półtora najwyżej... to jest bezmała tyle, ile ja rocznie z kotlarki odłożyć mogę... Ja odkładam i pieniąż ten leży... Weź go więc, a korepetycy zaniechaj.



☞ Józef Szermentowski.

238

czuwania dłużej jak do godziny dwunastej. Przyrzeczenie to atoli dotrzymać się nie dawało. Umowa gwałciła się sama przez się, a to w ten sposób, że młody człowiek stosować się musiał do zadawanych lekcji i ćwiczeń szkolnych. Wiedział kiedy zaczyna, nie wiedział kiedy skończy. Nauka go zatrzymywała — północ, zdawało się, nasyla-



Lazaret wojskowy w Niszu.

239

Nr 39, rok 1876.



nie widział, tylko ja i Ten, co zamiary nasze przynika. Baba jednak mnie oskarżyła na domysł, komisya zaś śledczą jak mnie nacisnęła, tak i wyłazy na wierzch wszystkie pozory i poszlaki i ja, pomimo skromności wrodzonej, musiałem się przyznać w końcu do zamiaru, za który należałoby mnie raczej wynagrodzić. Wynagrodzono mnie nudami piekielnymi.

— I dawno to?

— Ach! lat parę minąć już musiało od czasu, jak wolność odzyskałem.

— Trzeba wolność obracać na dobre — rzekł Kaźmirz tonem morału.

— Niby to ja obracam ją na co innego. Bóg świadkiem duszy mojej. Jak przed domem poprawy, tak po domu poprawy, życie moje całe jest nie czém innym, jeno pasmem jedném uczynków, z których każdy jest dopełnieniem obowiązku, jaki los na mnie włożył. Uczynki takie są uczynkami dobremi. Czy nie tak?

— Zależy to od rodzaju obowiązku, w wyborze którego radzić się należy nie losu, lecz sumienia.

— Piękne słowo, paniezu. Gdyby jednak los nie zrzucił inaczej, byłibyście pozostali pod Fijolką i pomagali babie ludzi truć i miasto zarażać. Nie radzić się losu?... ha, ha!... Was los wziął za rękę i z pod Fijolki wyprowadził, mnie na bruk miejski rzucił. Wy idziecie drogą jedną, ja drugą. Wy wykierujecie się może na takiego ludzkości dobroczyncę, który z ludzi pasy drze i zato czołobitność odbiera, ja wykierowałem się na złodzieja.

Kaźmirz się wzdrzygnął.

— Wykierowałem się na złodzieja i obowiązek swój spełniam sumiennie — ciągnął ulicznik. — Nie mam pretensji do tego, żeby przedemną czołem bito, z nikogo pasów nie drę i przyczyniam się do utrzymania w społeczeństwie harmonii, równowagi i porządku, dając licznym rodzinom chleba kawalek. Niema fachu pożyteczniejszego jak złodziejski!

— Ach! — odezwał się młody człowiek. — Uwolnijcie mnie jednak, zacny mężu, od swojej obecności.

— I owszem. Nie narzucam się nikomu... nie jest to w zwyczaju moim. Zaszedłem tu przypadkiem, mając do kotlarza interes, i spotkawszy was, przypomniałem sobie, że była chwila, w której pod moją zostawaliście protekcyą... at!...

Ręką machnął i ku odejściu się miał, gdy go Kaźmirz zatrzymał powiedzeniem następującem:

— Gdybym się mógł wam przydać na co...

— Na cóżbyście się mi przydali? Chyba życie sobie nabyć u mnie miedzi trochę.

Podniósł zawiniątko i wstrząsnął nim.

— Kradzionej — rzekł Kaźmirz do siebie półgłosem, tak jednak, że wyraz ten doszedł do uszów złodzieja.

— Tego się nie mówi — odrzekł tenże z półśmiechem. — Stoję przed wami w charakterze kupca, mającego na sprzedaż towar.

— Niekupiony, ani zapracowany.

— Cha, cha, cha — zaśmiał się obdartus. — Czyż to każdy towar, na sprzedaż wystawiany, jest kupowany lub zapracowany? Gdyby taki zaprowadzono w świecie obyczaj, iżby wszystko co się sprzedaje należało kupić lub zapracować, toby się porządek przewrócił nogami do góry. Ha, ha! — ręką machnął. — Nie odzywajcie się z tém przed ludźmi przyzwoitymi, bo powiedzą żeście komunista. Świat na próżniakach stoi i dla próżniaków istnieje; ludzkość hoduje próżniaków z rodu, z rzemiosła i z powołania, na to umyślnie, żeby im hołdować.

— Złodziejami się jednak brzydzą — podchwycił Kaźmirz, któremu, jak się zdaje, chciało się grzesznika nawracać.

— Dla kontrastu, paniezu kochany — odparł złodziej, głową kiwając. — Złodziejstwo, jak rzecz każda, ma swoje dwie strony, stanowiące istotność onego, stronę jasną i stronę ciemną. Jasna podoba się ludziom przyzwoitym, takim na jakiego wy się kierujecie, ciemna takim jak ja. To rzecz gustu.

Mówiąc to, ku drzwiom się cofał.

— Pragnąłbym jednak przekonać was — odezwał się Kaźmirz.

— O czém na przykład?

— O tém że jest cnota, która...

— I na co mnie o tém przekonywać? — przerwał złodziej. — Ja wiem że jest.

— A więc — zaczął młodzieniec.

— *Adieu...* nie chcę wam czasu zabić. Szkoda zem kotlarza nie zastał.

— Mój brat nie kupiłby téj miedzi.

— Tém ci gorzej dla niego i dla mnie. Postaram się ulokować ją gdzieindziej.

Wyszedł.

Kaźmirz do stolika się zwrócił, zasiadł, włosy z nad czoła odgarnął i do pracy się zabrał. Praca mu jednak nie szła. Otworzył książkę — wiérse dwoiły się, troiły, zmieniały kolor czarny na barwisty, lub téż ustępowały miejsca dziwnym jakimś widziadłom. Kaźmirz napróżno wzrok natężył, w celu schwywania oczami wiérszy. Pracować nie był w możności. Złożył więc książkę i chodzić po izbie począł, usiłując uporządkować sobie w głowie myśli różne sprzeczne, jakimi mu w ilości ogromnej złodziej mózg obrzucił. I to jednak było pracą daremną. Nie mógł myśleć. Szumiało mu wciąż w głowie, aż powrócili z knajpy Józef i Marcin. Józefa zdziwiło to, że zastał brata na środku izby.

— Ty nie przy książce?

— Był tu złodziej — odparł zapytany.

— Co?! — zawolali dwoma razem głosami Józef i Marcin.

— Był i odszedł.

— Nie zwędził czego?

— Przeciwnie... przyniósł miedz na sprzedaż.

— Był go za kark schwyć i do policyi! — wtrącił Marcin. — Złodzieja się nie puszcza z rąk na sucho.

Kaźmirz ramiionami ruszył, okazując odpowiednią tą niemą, że albo nie wiedział iż tak postąpić należało, albo téż, sam jeden w mieszkaniu się znajdując, nie zdołałby dokazać tego. Tak sobie gest ten Marcin wytłumaczył i zapytał:

— Gdzież się on podział?

— Nie opowiadał się zapewne Kaziowi, dokąd udać się zamierza — odpowiedział Józef.

— Gdybym tylko wiedział — były słowa Marcina — w którą poszedł stronę, wnetbym go śledzić począł.

Nie potrzebowaliby chodzić daleko. Gdyby tylko przez się przeszedł, znalazłby delinkwenta w izbie przeciwległej, siedzącego za stołem i oczekującego spokojnie na wyjście dwóch jakichś ludzi, którzy się kieliszkiem raczyli. Izbę słabo oświetlała świeczka lojowa, włożona w kinkiet mosiężny, do szynkwasu przybity. W głębi szynkwasu, z lat drewnianych sporządzonego, w cieniu beczki, która połowę onego zajmowała, siedział Nuchim z głową spuszczoną, jakby medytował lub drzemał. Rodzina jego cała już się w snu objęciach znajdowała. On jeden czuwał, ale pograżony w głębokiej zadumie, z której wyprowadzali go rzadcy goście. Musiał obsłużyć dwóch owych, co się częstowali, musiał następnie ocknąć się na przyjście Kaźmirzowskiego eks-protektora i odpowiedzieć mu na przywitanie, wypowiedziane w sposób nieużywany pomiędzy mieszkańcami stolicy. Złodziej pokazał mu trzy palce lewej ręki, z których środkowy w haczyk zgięty. Nuchim kaszlnął, chrząknął, znów kaszlnął i odparł:

— Niech będzie tak... niech będzie inac.

— To ja posiedzę, panie szynkarzu — odezwał się złodziej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Józef Szermentowski.

Malarstwo nasze w ostatnich czasach na szeroki weszło gościniec. Rozwija się we wszystkich kierunkach, wszędzie zyskując sobie znaczenie i uznanie. A jednak nie mamy znakomitych malarzy do zbytku i smutek głęboki ogarnia serce, gdy sumienny i zdolny pracownik penzla, po tru-

dach zacnych i dla sztuki pożytecznych, w sile jeszcze wieku ustępuje z pola.

Z boleścią téż zanotowaliśmy w zesłej kronice wiadomość o śmierci Józefa Szermentowskiego, i ze smutkiem przychodzi nam nakreślić wspomnienie pośmierne o tym artyście, którego imię tak było znane i cenione w kraju, a który długo jeszczeby mógł być pracować z chlubą dla naszej sztuki.

Szermentowski urodził się roku 1833 w Bodzentynie w Kieleckiem (1). Będąc jeszcze chłopięciem, z zamiłowaniem chwycił ołówek i kręślił nim dziecięce swoje pomysły, które zdradzały dar obserwacyjny i pewne artystyczne poczucie prawdy. Zwróciło to nań uwagę p. Tomasza Zielińskiego, światłego lubownika malarstwa w Kielcach, który téż dostarczył młodziutkiemu Józefowi środków kształcenia się, a następnie wysłał go do Warszawy, do ówczesnej szkoły sztuk pięknych. Prócz pracy szkolnej, młodzieniec korzystał tam z rad i pomocy Juliusza Kossaka. Zdolny ten przewodnik wiele mu ułatwił zrozumienie natury i wyrobił w uczniu pewną samodzielność artystyczną, której téż Szermentowski w ciągu całego życia żywe dawał dowody. Po odbytych studiach w Warszawie, Józef, jako stypendysta, wysłany został do Paryża, w celu dalszego kształcenia się, i w mieście tém pozostał nazawsze. Łatwiej mu tam było, przy wyrobionych stosunkach, pracować dla ukochanej sztuki, a zresztą powrót i stały pobyt pod niebem rodzinném mógł być przyspieszyć rozwój choroby, której zaród artysta nosił w piersiach.

Życie Szermentowskiego w stolicy Francji płynęło cicho, spokojnie i bez widocznych wstrząśnień. W pracowni swój zamknięty, artysta, z penslem w rękę, zapatrzony we własne wspomnienia, przelęwał na płótno kształty, przez żywą jego podsuwane wyobraźnię. I zawsze z pod tego penzla na płótnie wyrastał krajobraz swojski, ze skrawkiem rodzinnego nieba, skąpany w powodzi światła. Tęsknota i wspomnienie spletały się tu w jedno, obrzucając całość atmosferą poetyczną i wdzięczną. Pod działaniem uczucia penzel Szermentowskiego nabięrał stopniowo coraz większej delikatności i miękkości; barwy ożywiały się, rysunek nabięrał kształtów eterycznych i idealnych. Wyrodziła się z tego maniera, właściwa tylko Szermentowskiemu, która sprawiała, iż na pierwszy rzut oka każdy, choćby nie znawca, mógł jego obraz od innych odróżnić z łatwością.

Szermentowski był przeważnie pejzażystą, i to pejzażystą swojskim. Oddalenie długoletnie nie zatarło w pamięci jego silnych wrażeń, jakie wywarła na nim niegdyś natura ojczysta. Z pamięci téj, jak z bogatej skarbnicy, czerpał kształty dla pomysłów swoich, które jeżeli niezawsze wyróżniały się co do treści, odznaczały się jednak skończonością formy. Szermentowski nigdy nie szukał tematów niezwykłych, efektów jaskrawych; ale potrafił zachować stosunek estetyczny między treścią i formą, potrafił najskromniejszy pomysł przyozdobić wdzięcznie, ożywić własnym uczuciem, podnieść i uznać poezją własnej duszy. Ztąd-to płynął spokojny, łagodny wdźwięk jego utworów, które nie imponowały nigdy, lecz podobały się zawsze.

Prócz pejzażów, malował także Szermentowski sceny rodzajowe, owiane ciepłem serdeczném, wdzięczne przez układ staranny i umiejętne a troskliwe wykończenie. Malował dużo, a największą część jego obrazów rozeszła się za granicą, chociaż wystawa warszawska miała je zawsze, a czasami po kilka naraz. W wymaganiach skromny, Szermentowski prac własnych wysoko nie cenil, choć cenili je inni. W ostatnich téż chwilach życia w przykrém pozostawał ubóstwie.

Zeszłego jeszcze roku rozeszła się smutna wiadomość, że artysta, złożony ciężką chorobą, dogorywa. Śmierć jednak zwlekała cios ostatni, a powolne konanie trwało do dnia 6 września r. b., w którym Szermentowski zamknął oczy na wieki.

(1) Kronikarz nasz mylnie, w ostatnim numerze, jako miejsce urodzenia jego podał Warszawę.

## Lazaret wojskowy w Niszu.

Załączony tu drzeworyt wyobraża smutne ofiary wojny na podwórzu lazaretu wojskowego w Niszu. Lecz, niestety, wojna obecna jest tak nieludzko zaciętą, że po bitwach zostaje daleko więcej stonkowo trupów, niż rannych. Dowiedziona jest rzeczą, iż Turcy dobijają rannych, a nawet państwa się nad jęczącami. Oni sami zresztą mają tak niedbale urządzone służbę sanitarną, że wątpimy aby przedstawiony tu szpital miał istotne prawo do nazwy szpitala: jest-to zapewne dom naturalnej rekonwalescencji i nie więcej.

## Kopernik jako ekonomista.

(Dalszy ciąg.)

II.

### MIKOŁAJ KOPERNIK.

I JEGO DZIEŁO

#### „DE MONETAE CUDENDAE RATIONE,“

przez prof.

Augusta Montanari. (\*)

„Lubo niezliczone są przyczyny upadku królestw, księstw i Rzeczypospolitych, te jednakże cztery, zdaniem mojem, są najważniejsze: niezgoda, śmiertelność, niepłodność ziemi i spalenie monety.“

(Kopernik.)

Rozbiwszy szklane niebios sklepienie, przez starożytnych wymyślone, i ruch ziemi powróciwszy, Kopernik ogłosił światu swój system planetarny, szczyt mądrości ludzkiej, a tym samym zachęcił potomnych do śmiałego badania natury.

Zaprzędane błazny i komedyanty, wraz z ogłupiałem psopółstwem, szyderstwem odpowiedzieli na ten objaw geniuszu; ale prawda swą potęgą olbrzymią tyle dla swych czcicieli przynosi pociechy, iż nawet pogarda motłochu nie zdoła ich zachwiać. To też Kopernik pakonany nie został, ale owszem, wykazawszy zachwycającą prostotę i harmonię światów w przestrzeń rzuconych, wpoił w umysły przekonanie, iż harmonia wszędzie powinna panować, nawet i w stosunkach społecznych. Niniejsza właśnie praca ma na celu wykazać zasługę Kopernika, jaką oddał swemu krajowi, przez zwrócenie uwagi współobywateli na jedną z najważniejszych dla społeczeństwa kwestyj ekonomicznych, jaką niezaprzeczalnie jest sprawa monety.

Ważną kwestyą pogorszenia i fałszowania monety poruszył Kopernik w znakomitej rozprawie *De monetae cudendae ratione*, która, niestety, zbyt późno przez ekonomistów została poznana. Rękopis bowiem, zabrany przez Szwedów i do Stokholmu wywieziony, dopiero w 1801 r. został zwrócony rządowi pruskiemu, który polecił go złożyć w archiwum królewickim. Tu 1815 roku

odkrył go Seweryn Vater, profesor teologii w tamczym uniwersytecie, i na żądanie Sam. Bog. Lindego, rektora liceum warszawskiego, kazał go przepisać. Pamiętnik warszawski po raz pierwszy ogłosił tę pracę 1816 roku (w zeszytce sierpniowym), a następnie Jan Baranowski wraz z tłumaczeniem, polskim zamieścił ją w swym przepysznym wydaniu dzieł Kopernika, 1854 roku ogłoszonym w Warszawie. Poznanie tej cennej pracy ekonomisci zawdzięczają najpierw p. Wołowskiemu, członkowi francuskiej akademii nauk, który o niej miał wyborną konferencyą w sali Barthélemy i tę 1864 r. drukiem ogłosił, wraz z francuskim tłumaczeniem tekstu; następnie zaś panu Bertrand, członkowi téjże akademii, który w *Journal des Savants* ogłosił ciekawe studjum pod tytułem: „Kopernik i jego dzieła,“ zwracając w niem szczególniejszą uwagę na traktat o monecie.

Aby należycie ocenić dążności tego najdawniejszego ekonomisty, należy zwrócić uwagę na cały okres historyczny, który poniekąd przejściowym nazwać można; bo dwie epoki stykające się z sobą waleczą w nim nieustannie, miesząc tak chaotycznie sprzeczne żywioły dawnych i nowych czasów, iż nawet biegłemu badaczowi trudno przewidzieć, która strona przy zwycięztwie zostanie.

Pięćdziesiąt lat upłynęło od Kolumba do Kopernika, a przez badanie tego krótkiego peryodu, obejmującego historią najświetniejszych podróży morskich i największych odkryć geograficznych, sam Kopernik, podobnie jak przez obserwowanie pojedynczych zjawisk, sprawdził obroty ciał niebieskich i doszedł do ułożenia prawdziwego systemu planetarnego, z drugiej zaś strony wśród zamętu różnorodnych żywiołów wyszedł i należyte ocenił prawdziwy charakter ekonomicznego ruchu w nowym społeczeństwie. Zaszła bowiem wtedy wielka zmiana w stosunkach ekonomicznych. Przez odkrycie Ameryki i żeglugę naokoło przyładka Dobrej Nadziei, przemysł i handel zyskały nowe drogi, nowe zasoby i rozleglejsze stosunki, a tym sposobem położone zostały podwaliny cywilizacji ekonomicznej, której błogie owoce dopiero dalekie pokolenia zbierać miały. Czesę złota do takiej doszła gorączki, iż groziła przesileniem w chwili, kiedy nowy świat otwierał Europie swe bogate kopalnie. Nie więc dziwnego, iż w kwestyi monetarnej wytworzyły się najdziwniejsze teorie, a także najopłakaniejsze nadużycia właśnie wtedy, gdy warunki pracy i handlu zmieniać się zaczęły.

W czasie średniowiecznego barbarzyństwa, które w monecie zdawało się uwielbiać bogactwo *per excellentiam*, wytworzyła się i głęboko w umysłach zapuściła korzenie teoria, że wartość pieniądzy zależy od wizerunku panującego, lub jakiegokolwiek innego znaku, wyobrażającego jego władzę. Ztąd długa i skryta walka feudalnych możnowładców, usiłujących przywłaszczyć sobie przywilę bicia monety. Pieniądz, owa podstawa bogactwa narodów, zawdzięczał swą powagę woli panującego, i dlatego trzeba było uznawać taką wartość, jaką w mennicy nadał mu monarcha. Skutkiem podobnej zasady szeroko rozwinęła się we wszystkich kierunkach teoria fałszowania wartości monetarnej, a fałszerze, dzierżący w swych rękach losy narodów, nie potrzebowali skrywać się w podziemiach, aby bezkarnie przemysł swój prowadzić.

W historii fałszowania monety ważną odgrywają rolę ohydne nadużycia możnowładztwa; panujący bowiem, w sposób wszelkie granice godziwości przechodzący, korzystając z prawa bicia monety, za otrzymywany kruszec od prywatnych osób, oddawał im też samą sumę w wartości nominalnej. Jan II wydał we Francji 1356 roku rozporządzenie, aby z marki czystego srebra, za którą prywatnym płacono 7 lirów i 8 soldów, wybijano 12 lirów, a we trzy lata później z 4 lirów i 10 soldów bito 18 lirów; w pierwszym razie zatem fałszerstwo dochodziło 71, a w drugim prawie 350 od sta.

Oprócz zysków, pochodzących z fałszowania monety przez przymieszanie zbyt znacznej ilości

podłego kruszcu, panujący umieli jeszcze ciągnąć korzyści przy ogłaszaniu taryf, jakimi regulowano kurs monety. Narzuciwszy monecie wygórowaną i niesprawiedliwą wartość, ogłaszali następnie, iż przychylając się do słusznych nalegań swych poddanych, zmniejszają cenę pieniędzy w kursie będących i nie przyjmowali ich do skarbu inaczej, jak podług nowych taryf, których niekiedy ogłaszano po kilka w ciągu jednego tygodnia.

Niema sposobu, do któregooby nie uciekali się na tym polu władcy i feudalni panowie. Gdy z zachowania się targów zauważano, iż lud nie przyjmuje tak dowolnego narzucania wartości monecie, wtedy z całym spokojem uciekano się do innego wybiegu i tajemnie w pałacu królewskim i po zamkach bito monetę, niemającą żadnej literalnie wartości. Oburzony takim postępkiem, Dante wspomina w XIX pieśni *Czysta Filipa Pięknego*, który pod tym względem przeszedł wszystkich, bo przy każdym wypuszczeniu nowej monety oddzielnym edyktem zapewniał, iż takowa posiada też samą wartość, jaką posiadała za czasów Ludwika Świętego, co było fałszem. Wspomniany przez nas wyżej Jan II przeszedł za przykładem swego poprzednika. Mennice były monety zupełnie podobne do będących w kursie, lecz o wewnętrznej wartości znacznie niższej, a dla poznania ich kładły znak, mający wskazywać różnicę ceny. Zrazu polecił, aby znaki te jaknajmniej wskazywały różnicę, następnie zaś zupełnie zniósł takowe, a mistrzom mennic nakazał na wszelki możliwy sposób fałszować monetę, pod największym sekretem.

System fałszowania monety przybrał jeszcze większe i bardziej bezwstydne rozmiary, gdy zaczęto podrabiać pieniądze sąsiednich krajów, lecz o znacznie niższej wartości, a panujący i możnowładcy bynajmniej do tego nie czuli najmniejszego wstępu. Szczególniej odznaczył się pod tym względem Jan król czeski, który bił fałszywe sterlingi, Dante zaś w XXX pieśni *Piekła* wspomina hrabiów Guidi de Romena, z rozkazu których mistrz Adam z Brescyi podrabiał floreny florenckie, bite z czystego metalu.

W smutnym tym okresie prawie żaden kraj nie pozostał wolny od powszechnej zarazy. We Francji, oprócz wymienionych już królów, wspomnę Ludwika X i Karola Pięknego, którzy chcieli ograniczyć prawo jubilerów wyrabiania przedmiotów złotych i srebrnych na użytek prywatny, a to dlatego, aby obywatele zachowanej dotąd dobrej monety nie kazali przerabiać na naczynia i ozdoby i tym sposobem nie pozbawiali targu rzetelnych pieniędzy, za jakieby mennica fałszywe mogła wypuszczać. Mateusz Villani powiada, że fałszowanie monety przez Filipa VI Walezyusza do takiej doprowadzone było ostateczności, iż zagraniczni kupcy nie chcieli prowadzić handlu z jego królestwem. Półwysep iberyjski uległ fałszerstwom Alfonsa X, Sankeyusza IV, Alfonsa XI, Henryka II, Jana I, Henryka III, Jana II, Karola I, Karola II. W Anglii moneta, straciwszy wartość za Henryka III, jeszcze bardziej upadła za panowania Edwarda I i II. Szkocya, ofiara systemu monetarnego, naprzód za pośrednictwem sejmu przedstawiała swe skargi Ryszardowi II. W Niemczech wystarczył przykład Fryderyka III, który, jak powiada kronikarz, niespodziewanie zaczął bić *monetam vilem et despectam*, aby wszyscy mniejsi książęta, jak bawarski, austriacki, arcybiskup z Salzburga i inni, czuli się także w obowiązku fałszowania monety.

Nie należy się dziwić, że nieszlachetny ten rabunek zyskał powodzenie, zwłaszcza w narodach, które, jak pisze Michał Chevalier (*La Monnaie*, Rozd. III), pozwolili się wyzuć ze swobód, cierpiały tyle innych nadużyć. Rzeczywiście dla uniknięcia szkodliwych następstw, jakie dla prywatnego mienia pociągało za sobą fałszowanie monety, Normandowie opłacali swoim panującym podatek zwany *monetarium*, aby nie obniżali wartości pieniędzy; duchowieństwo francuskie 1303 roku ofiarowało Filipowi Pięknemu dziesiątą część swoich dochodów, byle tylko on i jego następcy nie zaprowadzali nowych taryf, a za kró-

(\*) Z powodu znalezionych niedawno w Bolonii przez Karola Malagolę dokumentów, dowodzących że Kopernik mieszkał tam w kolegium niemieckim, interesowani nanowozniecają spór o narodowość wielkiego astronoma, utrzymując że *musiał być Niemcem*, skoro znalazł pomieszczenie w kolegium niemieckim. Licho to wprawdzie dowód, niegodzien nawet zbijania; bo na tej samej zasadzie Polak, stający w hotelu niemieckim w Warszawie, już *co ipso* zostałby Niemcem, a Niemiec, zajeżdżający do hotelu rossyjskiego w Berlinie—*Rossyaninem*. Gdy jednak znikomym ten argument mógłby oddziaływać szkodliwie na umysły nawet bezstronne, lecz mniej oględne w rozważaniu przypadkowych całkiem okoliczności — poczytujemy sobie przeto za obywatelski obowiązek wydrukowanie znakomitej pracy uczonego Włocha prof. Augusta Montanari, której przekład dr. Artur Wołyński we Florencji, powodowany znaczną dbałością o sprawę narodowości Kopernika, łaskawie nadesłał nam racy. Praca ta dostarcza jednego więcej dowodu, że zarówno uczucia, jak myśli i czyny nieśmiertelnego ziomka naszego należały zawsze do kraju w którym się urodził i wychował, którego czuł się obywatelem i dla którego dobra geniusz swój w rozmaitych poświęcał kierunkach.

(Przypisek redakcyi.)

la Jana stany, po długich rozprawach, za stałą roczną opłatę nabyły od króla prawo bicia fałszywej monety.

Takie były warunki monety w średnich wiekach, zamierzając już o innych przykładach, które mógłbym tu przytoczyć. Chociaż wielkie wypadki zmieniły dawne czasy, wywołały znaczny ruch ekonomiczny w całej Europie i zapowiadać się zdawały ludom niedaleką chwilę rozkwitu i potęgi, długo jeszcze świat stary zostawał pod wpływem dawnych zabytków. Zdaje się niepodobnym do prawdy, a jednakże tak było w rzeczywistości, iż Karol V, owo uosobienie prawie całego tego okresu, uciekał się do spekulacji fałszowania monety nawet wtedy, gdy corocznie Hiszpania przeszła 50 milionów lirów otrzymywała ze swych kolonij w Nowym świecie. System ten tak dalece zachwiał handlem wszystkich dzielnic rozległego jego królestwa, iż zacny Scaruffi nie wahał się przyrównać go do ogromnego pożaru, który świat cały ogarnia i niszczy. Miłość ojczyzny, owo najczystsze uczucie, służyła mu za przewodnika, a zło, trapiące kraj jego, wyrobiło w nim szerszy pogląd na ekonomią społeczną.

Powiedziano że dla ciała społecznego moneta jest tēm, czēm dla ciała organicznego powietrze, bo obie te rzeczy dostarczają środków krążenia (cyrkulacji). Społeczeństwo istnieć nie może bez nieustannej wymiany pracy i rzeczy, a im więcej rozprzestrzenia się światło cywilizacji, tēm bardziej tēż rosną potrzeby i stają się z czasem koniecznymi; rozpowszechnia się podział pracy, aby właściwie zużytkować zdolności każdego; ludzie coraz obszerniejsze zajmują przestrzenie i powiększają liczbę ogniw łańcucha który ich łączy. Tym sposobem z chwilą każdą staje się bardziej nieuniknioną potrzeba przedmiotu, mogącego posłużyć za środek wymiany, to jest ułatwiać zamianę koniecznych rzeczy na zbyteczne, podzielne, dających się przechowywać na używające się z czasem, jednym słowem przedmiotu który niezbędny jest zawsze każdemu i na każdym miejscu, który sam przez się posiada wartość powszechnie uznaną i o ile można niezmienną, aby służyła za miarę dla innych. Takim przedmiotem jest właśnie moneta, a mając służyć za miarę i równoważnik innych rzeczy, powinna być stałą i niezmienną, bo jeżeli miara się zmienia i wartość upada, wtedy sprężyny organizmu społecznego albo przestają działać, albo pękają, a w przemyśle i handlu powstaje zamieszanie.

Taki charakter, zadanie i skutki widział Kopernik w monecie i dlatego, zwracając uwagę swego kraju na oplakany stan rzeczy pod tym względem, załośnie wołał: „Veh tibi Prussia, quae tuo, proh dolor! interitu male administratae reipublicae poenas pendis!“ (Biada ci, ziemio pruska! karzą cię zniszczeniem za złe rządy krajowe!)

W jakim stanie pod względem monetarnym znajdowały się prowincje pruskie w owym czasie, w którym Kopernik napisał swój traktat—zaraz zobaczymy. Gdy Zakon krzyżowy, pod wodzą Hermana Saltza, wielkiego mistrza, zajął ziemię chełmińską i całą przestrzeń między Wisłą, Odrą i Drwęcą, gdy wbrew zaprzysiężonej umowie z Konradem Mazowieckim przywłaszczył sobie władzę monarszą i daleko rozszerzył swe posiadłości, zaczął bić monetę podobną do francuzkiej za Ludwika IX. Następnie i pod tym względem zakon nie dotrzymał przyjętych zobowiązań, bo system monetarny w Prusach skazil najopłakaniejszymi fałszerstwami. Za pierwszych wielkich mistrzów srebrna moneta pruska dzieliła się na: grzywny albo marki, skojce, soldy i obole. Grzywna liczyła około 12 skojców, a 60 soldów. Skojec miał 4 soldy, a sold 12 obolów. Z  $\frac{3}{4}$  funta metalu (w stosunku  $\frac{3}{4}$  srebra a  $\frac{1}{4}$  miedzi) wybijano 149  $\frac{1}{3}$  soldów. Była to mieszanina sprawiedliwa i właściwa, bo pokrywała kosztą mennicy.

Po bitwie pod Tannenbergiem, gdzie Zakon ciężką poniósł klęskę, a Ulryk Jungingen wielki mistrz stracił życie, wraz z upadkiem państwa nisko bardzo upadła i pruska moneta, bo zacięta walka, prowadzona przez Henryka Plauena, następcę poległego mistrza, zakończoną niefortun-

nym traktatem, zupełnie wyczerpała skarb zakonu, i trzeba było ogromne zaciągnąć długi. Aby zaspokoić naglące potrzeby, wielki mistrz oddał w zastaw królowi czeskiemu miasto Kommotau, albo jak inni mówią ziemie, które na granicy Miśni około tego miasta zakon posiadał. Wkrótce potem tenże sam Henryk przetopił monety swoich poprzedników, a zwłaszcza Winryka Kniprøde. Soldy bite przez niego, chociaż napozór były podobne do dawnych, zawierały tylko  $\frac{3}{5}$  srebra. Fałszerstwo tego rodzaju do tego w końcu doszło stopnia, iż mieszano trzy części miedzi do jednej srebra, i słuszną robi uwagę Kopernik, iż właściwiej należałoby tę monetę nazywać miedzianą, aniżeli srebrną (Non argentea moneta, sed cuprea rectius diceretur).

Za mistrza Pawła Bellizera z Rusdorffu (\*) checiano zaradzić złemu i pierwotną czystość powrócić monecie. Zaczęto bić nowe soldy, które następnie nazwano groszami, w stosunku pół srebra do pół miedzi (czyli że 8 grzywnien odpowiadało jednemu funtowi czystego srebra); ale że zakon obawiał się znaczących strat z wycofania starej monety, więc takową na równi z nową zostawił w kursie, a ztąd wkrótce, jak się tego było można spodziewać, wynikło, iż za dwa dawne soldy zaledwo możne było otrzymać jeden sold nowy i że na targu nastaly podwójne grzywny (marki), a mianowicie grzywna nowych soldów i grzywna dawnych soldów. Chociaż nowa grzywna, to jest dobra, na równi z dawną grzywną, to jest licha, dzieliła się na 60 soldów, każda z nich jednakże, odpowiednio do swjej mieszaniny, miała różną wartość. Obol tylko pod względem nowego solda zachował dawną wartość, pozostając i nadal dwunastą jego częścią, a skutkiem tego za stary sold nie dawano więcej jak sześć obolów.

Zmiany polityczne znowu wywołały pogorszenie monety. Główne miasta pruskie, zołhydźszy sobie panowanie krzyżaków i straciwszy nadzieję polepszenia swego losu, jakiego 1450 roku napróżno domagały się od nich, roku 1454 otwarcie wypowiedziały posłuszeństwo, w ciągu niespełna miesiąca zajęły wszystkie znaczniejsze zamki i uczyniwszy akt poddania się Kaźmirzowi IV, połączyły się z Polską. Od tej chwili nietylko zostały potwierdzone dawne przywileje, ale nadto nowe zostały im nadane. W rzedzie tych ostatnich znajduje się przywilej bicia monety, jaki otrzymały miasta: Toruń, Gdańsk, Elbląg i Królewiec. Niestety, wkrótce go nadużyły, może zmuszone do tego kosztami wojennymi, które w tych prowincjach doszły do bardzo znacznej summy 50,000 grzywnien.

Faktem jest, iż ilość piędędzy powiększyła się wtedy, ale ich wartość znacznie spadła, zaczęto bowiem do czterech części miedzi przymieszować piątą część srebra i dlatego soldy Pawła z Rusdorffu miały wartość dwa razy większą od nowych. Taki stan rzeczy bynajmniej jednak nie przeszkadzał mennicom bić ciągle lichą monetę, która nawet kosztów roboty nie pokrywała. Wojna między krzyżakami a Polską, zawieszona przez traktat toruński, który oznaczył polskie posiadłości w Prusach i ugruntował lenność wielkich mistrzów względem króla, bynajmniej nie ustała w życiu społecznym i wzajemnych stosunkach, wymagając ciągle wielkich wydatków. Ztąd nieustająca potrzeba szukania w fałszowaniu monety środków zbawienia, i dlatego wiecej mistrzowie i miasta pruskie, jedni przed drugimi idąc na wyścigi, upodlali monetę przez coraz gorszą mieszaninę. Za dni Kopernika nietylko że zakorzeniony zwyczaj przetapiania i fałszowania monety nie ustał, ale owszem, złe doszło do tego stopnia, iż wybijano 15, a nawet 20 grzywnien z niecałego pół funta srebra, wtedy gdy za pierwszych w. mistrzów z tej ilości wyrabiano tylko nieco więcej nad dwie grzywny.

Tego rodzaju nadużyciom Zygmunt I chciał

(\*) Kopernik nazywa go w swjej rozprawie Michałem Rusdorffem. Błąd jest oczywisty, bo nietylko iż nigdy nie było wielkiego mistrza o podobnym nazwisku, ale właśnie w owym czasie, około 1439, krzyżakom przewodzil Paweł Bellizer de Rusdorff.

położyć koniec i w Mikołaju Koperniku znalazł gorliwego obrońcę swoich zamiarów, który na sejmach pruskich 1521 i 1522 r., zagajanych w Grudziądzu, energicznie obstawał za koniecznością przywrócenia monety o rzetelnej wadze i wartości. Niestety, próżne były jego usiłowania, bo miasta, zasłaniając się długami i brakiem szlachetnych kruszców, bronily dawnego systemu, jako prawa swego, które dawało im możność używania najpodlejszej mieszaniny w biciu monety. Zdanie więc Kopernika, tak przeważne z powodu głębokiej znajomości przedmiotu i słuszności projektu, natechnionego prawdziwą i dobrze pojętą miłością sprawy publicznej, upadło i do żadnego rezultatu nie doprowadziło, owszem, wywołało narzekania przedstawicieli Gdańska, Torunia i Elbląga, którzy zręcznie potrafili na swoje stronę przeciągnąć szlachtę.

Pomimo nieprzychylniej decyzji sejmu pruskiego, Zygmunt I, oceniając doniosłość poruszonej przez Kopernika kwestyi, zażądał od swego kanclerza Szydłowieckiego piśmiennej relacji i ztąd powstał traktat: De monetae cudendae ratione, który bezwątpienia posłużył za podstawę dekretów królewskich z 1556 roku, jakie po zawarciu umowy z miastami pruskimi 1528 roku zostały w wykonanie wprowadzone.

Lubo dziś powszechnie jest już znany i rozwiązany problemat monety, nietrudno jednakże spotkać się z najdziwaczniejszymi pod tym względem poglądami i teoryami, a cóż dopiero dzieć się musiało za czasów Kopernika? Chociaż roztropne rozporządzenia niektórych narodów, a zwłaszcza italskich rzeczypospolitych, wykazywały w ówczesnych mężach stanu pewne szczęśliwe zrozumienie ekonomicznych zasad, nie było jednakże nikogo, kto by faktów wyprowadził wnioski i z nich utworzył szersze naukowe poglądy. Wprawdzie ten i ów poświęcał się zbadaniu pewnych szczegółowych zjawisk, ale wogóle ruch umysłowy zamykał się w bardzo ciasnym kole i często najszczytniejsze geniusza pomysły, jeżeli nie były skierowane do podsycania uczuć religijnych, do rozbudzania namiętności ludowych, lub tēż nie przybięrały się w poetyczne szaty, ginęły bez słucho i echa.

(Dalszy ciąg nastąpi.).

## BURZA.

Strumień płynie w dal bez końca,  
Z łak palący promień słońca  
Swietne barwy startł.  
Skrzył się w cieniu rój motyli,  
Biała lilja główkę chyli,  
Zwiędła w letni skwar.

Ziemia, zda się, nie oddycha,  
Tylko brzozy szepeczą zcicha  
Swoję pieśń bez słów,  
Tylko czasem ptak zakwili.  
Rybka pluśnie—a po chwili  
Wszystko milknie znów.

Nagle niebo się zachmurza,  
Z twarzą w ogniach spada burza,  
Piorunami lśni....  
Pędzi wichur rozwścieczony,  
Gną się harde drzew korony,  
Płyną dęszczy lzy.

Strumień zmaćcił jasne lono,  
Kwiaty poza traw osłona  
Ujść chcą wrogich sił;  
Smętnie stoją brzozy kolumny,  
Snieżnej lilji kielich dumny  
W trzcinach czoło skrył.

Lecz gdy sroga burza minie,  
Uspokoi się w dolinie  
Wód przejrzystych ton;  
Łąka barwny strój przybierze,  
Brzozy puszcza listki świeże,  
Lilja wzniesie skron.

Maryja Elżbieta.

# Artykuły treści naukowej, z innych piśmiennictw czerpane.

**Wiktor Cherbuliez,**

przez Karola Bigot.

(Dokończenie).

Dziwić się zaiste przychodzi, że dzieła tak wysoko cenione przez publiczność wyżej wykształconą, tak niewiele doczekują się edycji, podczas gdy taka licha nowelka, jak *Le mariage dans le monde* p. Feuilleta, w kilku miesiącach rozeszła się przeszło w trzydziestu tysiącach egzemplarzy. A przecież przedmioty traktowane przez pana Cherbuliez należą do tych, które najwięcej czytelników znajdują; opowieści jego są historiami miłości, obrobionymi z wdziękiem, wytwornie; wszystkie kobiety powinnyby za niemi przepadać; a jednak kobiety nie znają wcale pan Cherbuliez, albo niebardzo w nim smakują. Przyczyny tego szukać należy w tém, że opowieści pana Cherbuliez nie są ich historiami, ani nawet historiami jakie dla siebie marzyły; nie mogą one poznać siebie w bohaterce i nawet w myśli postawić się w jej miejscu. Są to istoty bardzo zajmujące, bardzo malownicze, bardzo nowe, ale właśnie zanowe i zamalownicze; mają w sobie coś niezwykłego, dziwnego, i większa część czytelniczek mówi sobie: „Ludzkość nie jest taką, gdyż ja taką nie jestem.“

To jednak, co psuje kredyt panu Cherbuliez u masy czytających, stanowi właśnie jego największą zasługę w oczach niektórych ludzi. Talent jego jest bardzo indywidualny, odrębny. Łatwo jest, koniec końcem, powtarzać mniej lub więcej szczęśliwe spostrzeżenia, które drudzy poczynili przed nami, lub pokazali jak je robić należy; ale trudniej odkryć coś nowego na polu, jakkolwiek bardzo rozległym, ludzkiej ciekawości. A p. Cherbuliez nieraz robił odkrycia tego rodzaju. Fantastyk ten, niech mi darują ludzie systematyczni, jest nader bystrym obserwatorem; za dowód wystarczą dwie książki, które napisał o Niemczech i o Hiszpanii. Aby być o tém przekonany, wystarczyłby mi pewien obrazek społeczeństwa purytańskiego genewskiego w „Pawle Méré“, który, jeśli się nie mylę, niewielu przyjaciół musiał mu zrobić między jego ziomkami. Ale zmysł obserwacyjny pana Wiktora Cherbuliez lubi się zatrzymywać tylko na rzeczach nowych, które odkrywa pierwszy, albo mu się przynajmniej zdaje że pierwszy je odkrył. W ludzkości idzie mu o wypadki szczególne, o charaktery oryginalne. Nie maluje on nigdy całej jakiejś rasy, społeczeństwa pewnego, pojedynczemi, kolejnemi pociągami penzla. Lata ciągle na prawo i na lewo, niby motyl, zbliżając się jedynie do kwiatu który go wabi ku sobie. Posuwa fantazyą aż do ciekawości.

Przyznać trzeba, że natura dobrze mu usłużyła pod tym względem. Obserwatorium, w którym go umieściła w pierwszej zaraz młodości, było jakby umyślnie urządzone, aby mu stawić przed oczy to, co go najwięcej interesowało. Genewa zajmuje w świecie wyjątkowe stanowisko. Umieszczona w punkcie zetknięcia się Francji, Włoch i Niemiec, jest jednem z tych miejsc przechodnich, przez które cały świat przeciąga. Wszystkie cywilizacje ocierają się tam o siebie, wszystkie rasy tam się spotykają. Z północy i z południa, ze wschodu i zachodu, począwszy od bojarów rosyjskich aż do lordów angielskich i *porc-packers*ów amerykańskich, zjeżdżają się tu milionery dwóch światów, między Genewą, Vevey i Montreux, zwabieni pięknnością jeziora, wspaniałemi górami i zdrowym klimatem. Spotyka się tam naraz baronowe niemieckie, wielkie panie francuzkie i rosyjskie, *ladies* angielskie i eleganckie *miss* amerykańskie, nie mówiąc już o kreolkach z Antyllów, córach Brazylii, Peru i Chili. Wszystkie

charaktery i twarze najrozmaitsze, jakie tylko świat nasz wydaje, cała bogata kolonia turystów, którym chodzi tylko o to, żeby wydawać pieniądze i żyć szczęśliwie, osiedla się tutaj; kolonia tém ciekawsza dla spostrzegacza, że samo bogactwo pozwala jej lepiej i z zupełną swobodą rozwijać swoje enoty i wady, a oddalenie od rodzinnego kraju podnosi jeszcze tę swobodę. Co może obchodzić opinia ludzka tego, kto żyje jak ptak na gałęzi i kto jutro już będzie bardzo daleko, nie troszcząc się wcale o ślad jaki po nim zostanie?

W takich warunkach niema ludzkości ogólnej, są tylko indywidualia. Widok był zajmujący, a p. Cherbuliez umiał z niego korzystać. Tam to widział on z kolei i zbytkujących magnatów rosyjskich, i pastorów metodystów, wybiierających się na nawracanie Sudanu, i Peruwianki stare a zawsze kokietki, i młode Angielki, niewinne zarazem i zuchwale, i księżat włoskich polujących na wielkie posagi, i Niemki blondynki, w których oczach tyle wyczytać można, i damy polskie lub rosyjskie, goniące za wrażeniami, które przed niemi uciekają, i lekarzy sceptyków, i wielkich panów przeżytych, i elegantów śmiesznych, i cały ten świat maluczki, pokornych albo zbuntowanych, miłych albo wstrętnych, którzy cisną się dokola wielkich na to, aby ich wyzyskiwać, oczekując na chwilę zemsty za ich pogardę. Lubił on przechadzać się wśród tych ras rozmaitych i badał po kolei każdy z tych dziwnych typów, który mu się wydawał zagadką i pytał się go o jej rozwiązanie.

Ten świat pozostanie nazawsze prawdziwym światem pana Cherbuliez i radbym, żeby się do niego przywiązywał coraz bardziej. Musiał on w nim widzieć dużo rzeczy, których nam jeszcze nie wypowiedział, a próby tego rodzaju jak ostatnia, mimo talentu, który widać nawet w takiej „Pannie de Saint-Maur“, powinnyby go przekonać, że właściwą dla niego drogą nie jest malowanie typów francuzkich. Ah! o ileż go wole, gdy nam maluje Niemców, naprzykład ową Metę Holdenis, pod eskortą zanego ojca i pobożnej rodziny, albo lady Rovel i kapryśną jej córkę, rozhukaną a zachwycającą, albo postacie z innych cudzoziemskich społeczeństw.

Na seryo, wielka byłaby szkoda, gdyby p. Cherbuliez zanadto chciał zostać Paryżaninem. Jest on Francuzem, i to dobrym Francuzem, przez patryotyzm, język i talent. Na tém też dosyć. Przyznaję się że bardzo bolałbym nad tém, gdyby przestał być tém czém jest, gdyż musiałby na tém stracić. Pobyt w Paryżu byłby zgubnym dla niego, gdyby miał zmienić charakter jego talentu; ale on przybył do stolicy dość późno, w chwili gdy sposób jego pisania stanowczo już był urobiony: Paryż pozostawi go samym sobą, i pierwszy będzie sobie tego wieszował. Styl jego jest jego własnym stylem: jego sposób zapatrywania się na rzeczy i wypowiedzania ich, jest również wyłączną jego własnością; — a styl taki daleko więcej wart od zwyczajnego stylu wielkiego miasta, który przez to że służy wszystkim, w końcu staje się niczym. Ileż to kartek można by wyjąć z tego, co się pisze dzisiaj, a po odjęciu podpisu, niktby nie poznał kto jest tego pisma autorem. Ale niech kto spróbuje zrobić coś podobnego z panem Cherbuliez. Wszystko co on napisze, nosi jego stempel na sobie, a nawet gdy się ukryje pod pseudonimem w *Revue des deux mondes*, dość trzy okresy przeczytać, żeby odgadnąć autora. Ma on swój język i swoje wyrazy, ma — według wyrażenia łacińskiego, którego żadne późniejsze nie zastąpiło — swoją pisarską „liczbę“, *numerum*. Poznać go po budowie peryodów, równie jak po używaniu pewnych sposobów mówienia, po pewnych zwrotach nieużywanych

powszechnie, a jednak zawsze żywych i malowniczych. Ma on zamiłowanie w prowincjonalizmach, w tych prowincjonalizmach genewskich, które cenimy u Topffera i Aleksandra Vineta, a które znaleźć można nawet u Rousseau'a, przypatrzwszy się zblizka. Ma on rozmaite przysłowia i sposoby wyrażania się, które nie weszły w język paryżki, albo które już z niego wyszły; posiada dwa główne przymioty temperamentu genewskiego: zamiłowanie w stylu poetycznym i upodobanie w dobrym humorze. Studiował on starszych od siebie, wiele się nauczył od Rousseau'a, idąc nawet w ślady znakomitego jego ucznia, Jerzego Sanda; wiele także zawdzięcza Topfferowi. Od niego to wziął on ową wesołość dosadną a fantastyczną, która nie jest dowcipem paryżkim, ani *humour*'em angielskim, ale jest czémś w swoim rodzaju bardzo żywym i bardzo miłym.

Temu też to stylowi zawdzięcza on znaczną część swojego powodzenia. Styl jego jest mieszaniną poetycznego marzenia, fantazyi i szyderstwa, już to poważnego, już wesołego, a zawsze miłego i bez złośliwości. Z tego wszystkiego ułożyła się harmonia pełna wdzięku. Jego książki wszystkie pisane są w tonie pogadanki, która z kolei to wynosi się, to zniża, bez żadnego wysilenia, zachowując w miejscach nawet najświetniej wymownych pewną skromność, ostrzegającą że niebawem spuści z tonu, a nawzajem, nawet w chwilach największej poufałości, odznacza się pewną powagą, zapowiadającą że wkrótce znów wzleci wyżej. Niema w niej uroczyści, ani napięcia, niema też i trywialności. Jest to ton przyjemnego i wykształconego gawędziarza, który we wszystkie części swego opowiadania, smutne czy wesołe, poważne czy lekkie, wkłada dużo swego własnego temperamentu i nie zawiera nigdy zupełnie samego siebie w historii którą opowiada. Osoby pana Cherbuliez mówią prawie wszystkie jednym stylem, i to jest z pewnością największy zarzut, jaki mu można zrobić ze stanowiska prawdy artystycznej. Na szczęście styl ich jest jego stylem, któremu trudno nie przebaczyć wielu rzeczy. Wszystkie zarówno posiadają wesołość, fantazyę, pewien zasób zapału i werwy. Werwa, oto przymiot gorący u pana Cherbuliez i nie odstępujący go nigdy. Wszystkie rodzaje form, na przedstawienie danego uczucia i danej myśli, pojawiają się u niego i cisną, że tak powiemy, pod pióro. Nie jest to retoryczne rozwałkowanie adwokaćkie: to naturalna swywoła imaginacyi, niespożywającej ani na chwilę, przepelnionej najrozmaitszemi obrazami. Styl pana Cherbuliez jest nadzwyczaj żywy, iskrzący; przypomina on te piękne wodospady jego ojczyzny, których fale spadają ze skał dęszcem brylantowym, z szumem zarazem wesołym i poetycznym. On kocha naturę i opisuje ją z miłością. Jest biegłym pejżażystą, z piórem w ręku. Któż nie pamięta tych opisów doliny Renu i starego zamczyska w „Hrabi Kostia“, przechadzki nad jeziorem Paladrą w „Mecie Holdenis“? Albo w innym znów rodzaju, cóż to za miły i wyborny obrazek domowego życia mieszczaństwa genewskiego w „Odwiecie Józefa Noirel“. Gdy rozprawia, to bez pedantyzmu, bez min doktorskich. Nie sadi się na to, żeby myśl jakąś odrzucał od początku do końca obrobic; to podejmuje ją, to znów porzuca, odstępując od przedmiotu, a po drodze napotyka najrozmaitsze pomysły, uwagi trafne i oryginalne. Ładny złożyłby się bukiet, gdyby zebrac wszystkie kwiaty rozrzucone po jego książkach. Są to zalety nie przytrafiające się tym, którym zanadto pilno stanąć u celu i którzy nie schodzą nigdy na bok, z obawy żeby się nie spóźnili. Czytał on bardzo dużo i bardzo dużo zapamiętał; nikt z pewnością nie zna lepiej od niego literatury angielskiej, francuzkiej i niemieckiej; nikt niezdola częścię przy-

ponieć sobie dowcipnej anegdoki, ładnego wiérzyska, szczęśliwej maksymy; nikt nie umie wydobyć tyle efektu ze zrecznie wybranej cytaty.

Jeśli mam szczerze powiedzieć, to pan Cherbuliez za dużo sobie przypomina; nadużywa często cytaty, a wszystkie jego osoby zawiele mają pamięci. Wszystkie też zanadto często używają apostrofów, lub wpadają w prozopopeję; wszystkie zbyt posłuszne imaginacyi, zanadto trochę robią zygzaków. Ale obawiam się, żeby się z tego przypadkiem nie poprawiły, i nie jestem pewny, czy godzi się życzyć im poprawy. Zostawmy je tak jak są. Życzymy sobie raczej, aby się z roku na rok coraz bardziej mnożyły. Fantastyce powinni dużo tworzyć, gdyż nie wszystko udaje im się od razu. Strzelając do celu, często grubo chybiają, ale często też trafiają w sam środek, nie tak jak ludzie poprawni, którzy ciągle i regularnie wsadzają kule dokoła owego środka. „Mordujcie wszystkich — mawiał pewien strasznej pamięci legat, podczas rzezi Albigenów — Bóg rozpozna między nimi swoich.“

Pisuj wszystkie swoje romanse, panie Cherbuliez, mówimy i my także; potomność potrafi sobie z nich wybrać te, które uzna za przydatne dla siebie.

## Sztuka włoska w epoce odrodzenia,

przez M. Carrière'a.

### II.

Rozkwit sztuki włoskiej.—Leonardo da Vinci.—Michał Anioł, Rafael, Correggio, Tycjan.

(Dalszy ciąg).

W innym obrazie, przedstawiającym upadek i karę pierwszych rodziców, mistrz użył naiwnego sposobu przedstawiania, właściwego starym malarzom, ażeby unaooczyć w pełnej dramatyczności kompozycyi nierozdzielność winy, sądu i pokuty. Drzewo rajske zajmuje środek obrazu; owijający je wąż przybiera wgórze nieznacznie kształt ciała ludzkiego i podaje owoc Ewie; matka rodu ludzkiego, w całym uroku wdzięków i w całej pełni siły, widocznej w potężnych, pełnych jej kształtach, spoczywa na ziemi, stojący zaś obok Adam sięga ku drzewu. W drugiej połowie obrazu anioł z błyszczącym mieczem wypędza grzeszną parę, ściganą wyrzutami sumienia. Wymiary tych figur, widzianych w oddali, są nieco zamale.

Obrazy, mające za treść środki ratunku przez Boga ludziom podawane, nie stoją na tej samej wysokości, do jakiej wznosił się Michał Anioł w pojedynczych postaciach Sybilli i proroków. Te ostatnie pomyslane i wykonane są tak potężnie, że czujemy w nich istoty noszące w sobie bóle całego stulecia i całego narodu, istoty które w sercu ściśle zjednoczone z Bogiem, pojmują skryte drogi jego rządów i mają dość siły i odwagi, by prawdy posiadane wygłaszać innym. W ten sposób uzupełniają one pojmowanie całej duchowej podniosłości Starego testamentu, w czym Michał Anioł różni się stanowczo od Ghiberti'ego i Gozzoli'ego, którzy nadali faktom pisma świętego szysto ludzki charakter. Uwidocznia on jak dzieje są opowieścią wielkich czynów Boga, jak poeta psalmów i prorocत्व unosi ducha w nieskończoność. Jeremiasz, zatopiony w poważnym i tęsknym zamysleniu, Ezechiel, zwracający poza siebie wieszczę spojrzenie, Izajasz, przysłuchujący się podszeptowi geniusza, zarówno jak ich towarzysze i towarzyszki (Sybille), scharakteryzowani są różnicą wieku i odrębnymi indywidualnymi rysami. Pomiędzy kobietami zwraca uwagę przede wszystkim delfijska Sybilla, pełna młodzieńczej świeżości i podniosłego wdzięku, prawdziwe uosobienie helenskiego ducha, wobec demonicznej dzikości i surowości, cechującej wschodnie wróżki. Strój tych postaci jest czysto idealny, przypominający starożytność klasyczną i pierwsze wieki chrześcijaństwa. Trzydzieści sześć grup, składają-

ych dzieje przodków Chrystusa, to pierwszorzędnym obrazem rodzajowe. Widz, porwany burzliwą potęgą i olbrzymością scen poprzednich, znajduje miłe uspokojenie i powrót do równowagi duchowej wobec tych prostych, pełnych łagodnego spokoju malowideł, w których mężowie, kobiety, dzieci, bądź w grupach, bądź w pojedynczych figurach, przedstawiają się w plastycznym spoczynku, niewyłączającym jednak wzniosłości i budzącym uczucie cichego zachwyty.

Do tej rzymskiej epoki działalności Michała Anioła, przypadł właśnie na dobę mężkiej dojrzałości jego talentu, należy jeszcze kilka rzeźb, więcej zbliżających się do antyku, niż późniejsze prace mistrza, a także rysunki odtwarzające greckie mity: Afrodyte całowana przez Erosa, Ganimed porwany przez orła, Leda z łabędziem. Statua młodzieńczego Apollina w Ufficiach florenckich nie została, jak wiele innych dzieł mistrza, wykonaną ostatecznie. Nie trzymając się żadnego modelu, artysta niejednokrotnie mógł napotykać w pracy trudne do pokonania przeszkody; często też nowa myśl zmieniała pomysł pierwotny, nim takowy został wykonany. Tak na przykład Chrystus w kościele *Maria sopra Minerva* w Rzymie, choć trzyma krzyż w prawicy, jednak w młodzieńczo pięknej swój nagości przedstawia uosobioną potęgę życia i tryumf nad śmiercią.

Gdy Leon X został papieżem, Michał Anioł otrzymał polecenie (1520) udania się do Florencji, by tam przy kościele San Lorenzo wybudować zakrystyę, a w niej wystawić nagrobki dla dwóch Medyceuszów (Juliana i Wawrzynca), brata i synowca papieża. Medyceusze stali się wielkimi i głośnymi przez miłośnictwo sztuk pięknych i nauki, tudzież przez pomoc i opiekę, jaką stale nieśli ludowi przeciw przewadze partyi szlacheckiej. Potomkowie ich jednak, zapomniawszy tradycyjnej polityki, zapragnęli być panami i zaprowadzić we Florencji rządy absolutne, i skutkiem tego zostali wygnani. Michał Anioł, mając do wyboru pomiędzy sprawą ojczyzny, a rodziną której wiele zawdzięczał, stanął po stronie wolności.

W bohaterskiej walce, prowadzonej przeciw Medyceuszom wspieranym przez papieża i cesarza (1529 r.), kierował on fortyfikowaniem i obroną panującego nad miastem pagórka, na którym stoi kościół San Miniato. Po zdobyciu Florencji, artysta, którego życie było w niebezpieczeństwie, ukrył się w jakiejś dzwonnicy. Papież Klemens VII zapewnił mu jednak bezpieczeństwo i uznał ważność zawartych z Leonem X układów. Wskutek tego wziął się Michał Anioł do pracy nad owym grobowcem. Gdy posąg nocy, stanowiący część dzieła, został skończony i wystawiony na widok publiczny, nakreślił na nim Giovanni Strazzi następujące słowa: „Nocy, jak słodko śpisz w tym kamieniu! Anioł nadał ci swoje formy. O, na zasypia; ale przechodniu, nie wąż o jej życiu. Obudź ją, a przemówi do ciebie.“ Artysta nie mógł się powstrzymać od dania na to odpowiedzi, w której wylał całą bolesć nad położeniem swój ojczyzny: „Drogim jest mi sen—powiada w imieniu posagu—droższym jeszcze byt mój kamienny, póki hańba i klęski trwają. Nic nie widziéć, niczego nie słyszcć, to jedyne pragnienie moje. Mów przeto cicho, gdyż nie chciałabym zostać zbudzoną.“ Wkrótce potem opuścił Michał Anioł ojczyznę, by nigdy już nie ujrzeć miasta pozbawionego wolności. Nagrobki zostały postawione w 1534 r., choć nie były jeszcze zupełnie wykonane. W popiersiu Brutusa chciał ucieleścić artysta mszczącego się ducha rzeczypospolitej. Obaj Medyceusze nie byli wprawdzie ludźmi tego rodzaju i znaczenia, iżby Michał Anioł mógł się nimi entuzjastycznie opierać, opierając się jednak na ich charakterach, stworzył idealne popiersia, które poumieszczał w niszach grobowca. Jednemu nadał męską energią wodza, rzucającego wzrokiem dokoła siebie, drugiemu zaś wyraz marzycielskiej zadumy, skutkiem czego popiersie to zdawna otrzymało nazwę *il pensiero*.

Cała postawa wybornie odpowiada wyrazowi obu figur; cień mianowicie jaki rzuca na hełm oblicze wojownika, podnosi wielce porywającą

prawdę melancholijnego nastroju tej postaci. Leżące statuy wieczoru i poranku, dnia i nocy, umieszczone na skośnie zaokrąglonych pokrywach sarkofagu, odpowiadają tym dwóm ponad niemi wznoszącym się posągom, którym artysta nadał ogólny, idealny charakter. W uosobieniu potęg i zjawisk przyrody, spółzawodniczy mistrz ze starożytnymi. Postacie powyższe, męskie i żeńskie, naprzemian przedstawiane są we śnie lub marzycielskim dumaniu i traktowane w ten sposób, że ciała, jakby potężnym rzutem ułożone, przybrały symetryczne położenia: jedna noga wznosi się, druga opadła; jedno ramię służy do wsparcia postaci, drugie pozostaje wolnym. W kontrastach tych razi nas pewna wymuszoność w postaciach dnia i nocy, podczas gdy przepyszne wykończenie ciał dwóch drugich postaci nie przedstawia nic nienaturalnego. Jakkolwiek niekażdy mógłby spać, wspierając prawe swe ramię na wzniesionej i cofniętej wtył lewej nodze, zapominamy jednak o tém, patrząc na dzieło wywierające na nas potężne wrażenie majestatycznością żaloby i wspinałością form tych postaci. Cztery pory dnia pojął i przedstawił artysta jako cztery doby rozwoju świata: śmierć i życie, zamięranie i przebudzenie się ludzkości, jako wcielenie władających światem potęg. August Schlegel powiedział o posągu jednego z księząt: „Myślący kamieniu, kiedy zerwiesz się do wykonania zamiarów? O wielkiej rzeczy zamysłasz, lecz większą wymyślił twój twórca.“ Obie kobiece postacie znowu tak scharakteryzował: „Nie, tyś nie jest ziemską nocą, wczorajszą lub dzisiejszą. Witaj, nocy Michała Anioła, witaj matko wszech rzeczy. Czy to z łoża swego wstaje świt, zwiastun budzącego się dnia? Nie, to stulecie się budzi z letargicznego uśpienia.“

W tejże kaplicy znajduje się niewykończona grupa Maryi, z dziecięciem na ręku. Chłopię, siedzące na kolanie matki jak na koniu, odwraca główkę ku pierścion, których szuka ręką. Ta dziecięca naiwność i pogodna ruchliwość twarzy stanowią śliczny kontrast z zadumą Maryi, jakby przezuwającej cierpienia ukochanego syna.

Od 1534 r. przebywał Michał Anioł w Rzymie. Reformacya w Niemczech stała się faktem spełnionym; papież Paweł III myślał o pogodzeniu przeciwności religijnych. Ztąd na dworze watykańskim uzyskali znaczenie tak wolnomyślni mężowie, jak Pole, Contarini i Bembo. Do nich przyłączyli się Occhino z Neapolu i Vittoria Colonna. Occhino, mnich franciszkański, podobnie jak Luter i Zwingli, z oddanego nauce zakonnika, stał się płomienistym mówcą ludowym i swemi kazaniem rozplomieniał serce szlachetnej kobiety, która poślubiwszy w kwiecie młodości bohaterskiego Ferranta d'Avalos, markiza z Pescary, oplakiwała następnie jego zgon w pięknych elegijnych sonetach. Obecnie jej lutnia zabrzmiała religijnymi dźwiękami. Dusza, według jej słów, jest dziecięciem Boga, który swe prawo wyrzył w sercu człowieka; kto zwyciężył samolubstwo, ten na skrzydłach łaski szybuje ku bezpiecznemu wybrzeżu wieczności. Chrystus jest pierwowzorem zaparcia się i miłości, zwyciężającej cierpieniem poddaniem się. Śmierć na krzyżu była koroną takiego życia. Krzyż na drzwiach, szatach i czołach naszych nie ma żadnego znaczenia: wybawia on nas wtedy tylko, gdy go wzniesiemy w głębi duszy. W naszym to sercu odbywa Chrystus zstąpienie do piekieł, gdy duch jego krępuje złe myśli, a wyswobadza dobre popędy. Utalentowana kobieta stała się wkrótce ogniskiem reformatorskiego kółka, do którego przyłączył się i Michał Anioł. Pozostał on dotąd samotnym. Wprawdzie miłość zamłodu zbudziła się w sercu artysty, lecz, jak powiada w sonetach, stała się dlań jedynie słodkim źródłem gorzkich cierpień. Vittoria zrozumiała istotę jego charakteru i całą siłą swego czystego uczucia otoczyła wielkiego męża. Ona miała czterdziesty piąty, on zaś sześćdziesiąty rok, w chwili gdy się poznali. Ta idealna miłość, jak łagodny promień słońca, opromieniowała życie artysty i zapewniła nieśmiertelność podniosłej poetce. Piękność jej duszy, jak to sam przyznaje, ozłociła blaskiem wieczności jego dzie-

la powabnym gościem wiodła go Vittoria ku niebu. To też Michał Anioł powiada, że jak statua występuje z łona kamienia, w którym była uszpięta, tak lepsza cząstka duszy artysty zostaje zbudzona i wyzwolona przez miłość.

Były to dni piękne, pełne nadziei. Zdawało się iż niewiele brakuje do usunięcia nadużyć i scholastycznych formulek, bez wywołania rozwojenia w kościele, że chrześcijaństwo ducha i serca z Rzymu samego rozszerzy się po świecie; Vittoria oczekiwała iż niebiańskie słońce rozjaśni duszę jej przyjaciół i że z nastaniem dnia prawdy pierzechną ciemność. „Ze swą pochodnią, śpiewa ona, zstępuje do nas Duch święty. Stare formy ustępują, pokonane przez prawdziwy kościół, który się przeobraża. Jego rzeczywiste członki, mądrzy szermierze, stoją gotowi do boju, gorejąc niebiańskim ogniem i śpiewając hymny na cześć przyszłego pokoju. Już trąba sądu grzmi, a ci co holdowali ziemskiemu błaskowi, co zaprzęgli się w służbę bożków, nie ukrywają się przed światłem, które weiskając się w serce oddane na pastwę grzechowi, wymaga nowej woli i nowego życia.“ Dalszy ciąg tego utworu przedstawia wielkie pokrewieństwo z myślą, jaka przewodniczyła Michałowi Aniołowi w tworzeniu „Sądu Ostatecznego.“

Tymczasem przeciw mężom dążącym do pojednania na drodze miłości i wolności duchowej, wystąpili inni, którzy choć także głosili potrzebę zniesienia sprzedaży odpustów, handlu beneficjami, tudzież wytepienia niemoralności życia duchownych, jednakże pragnęli utrzymać powagę Rzymu i literę zasad.

Na czele tej partyi stanął Piotr Caraffa z Theate; zyskała ona przewagę u papieża i tym sposobem inkwizycyi i jezuitom dostało się zadanie utrwalenia pokoju. Contarini, który wtedy bawił w Niemczech, pracując nad porozumieniem z protestantami, został odwołany, Occhino zaś schronił się przed procesem o kacerstwo do Niemiec, zkad gorąco protestował przeciw nowemu zwrotowi rzeczy w Rzymie. Pole został zesłany do Viterbo, dokąd pośpieszyła za nim Vittoria Colonna, szpiegowana przez inkwizycyę. Sonety jej przypominają teraz, że w niebie panuje pokój, nie zaś gorączka władzy, że znamię i owoc prawdziwej wiary są czyny miłości, że należy w pokoju zostawić tych, którzy sami niczego innego nad pokój nie pragną.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## WPLYW CIŚNIENIA POWIETRZA

NA ISTOTY ŻYJĄCE.

Podług

Pawła Bert.

Nikt, zdaje się, nie powątpiewa o tém, że zmiany barometryczne, a właściwie mówiąc, zmiany w ciśnieniu atmosfery, wielki wpływ na organizm wszelkich istot żyjących wywierają; powiedzialbym raczej, że doniosłość tego wpływu bywa niekiedy zanadto przeceniana. Tak na przykład osoby nerwowe lub astmatyczne, doznając wrażeń pod względem stanu zdrowia dodatnich lub ujemnych, w miarę podnoszenia się lub opadania rtęci w barometrze o kilka milimetrów, przypisują je „ciężkości“ lub „lekkości“ powietrza. Tymczasem, gdyby to było rzeczywistym powodem zjawisk higienicznych w tym rodzaju, w takim razie dla mieszkańca Warszawy zejście z Krakowskiego przedmieścia na brzeg Wisły, lub na odwrót, także same musiałoby sprowadzać rezultaty.

Wiadomo bowiem, że w miarę wznoszenia się od poziomu morza w kierunku pionowym, ciśnienie zmniejsza się mniej więcej w stosunku jednego centymetra wysokości słupa rtęci w barometrze, na sto metrów drogi przebytej w kierunku pionowym. A zatem zmiana ciśnienia o jeden milimetr, odpowiada dziesięciu metrom drogi (35 stóp pols.). Dość więc, powiadamy, byłoby z drugiego lub trzeciego piętra domu stojącego na

Krakowskim przedmieściu zejść na brzeg Wisły, aby doznać różnicy ciśnienia, wynoszącej kilka milimetrów. Tymczasem niejedna osoba nerwowa, lub cierpiąca na astmę, drogę tę odbywa, nie doświadczając symptomatów towarzyszących zwykle opadaniu lub podnoszeniu się barometru. Jest to widoczny dowód, że na symptomata owe nie wpływała zmiana w „ciężarze“ powietrza, lecz inne zjawiska, towarzyszące zmianom barometrycznym, jako to: ilość wilgoci rozpuszczonej w powietrzu, natężenie elektryczne i t. d.

Jako wysokość barometru normalną przyjęto 76 centymetrów. Taką długość rzeczywiście, w dniu pogodnym, przedstawia słup rtęci w barometrze, umieszczonym na wysokości poziomu morskiego. Wysokość ta zmniejsza się, jak powiedzieliśmy, o jeden centymetr (10 milimetrów) na sto metrów wysokości w przybliżeniu. I tak: na Wezuwiuzs, w wysokości 1123 metrów, barometr wskazuje 66 centymetrów; na przesmyku góry św. Bernarda, wzniesionym na 2432 metrów, słup rtęci wskazuje 56 centymetrów; na wierzchołku góry Pélvoux, liczącej 3998 metrów, słup rtęci opada do 46 centymetrów i t. d. Największą wysokość, do jakiej wzniesiono się balonem, wynosi 8840 metrów; podróż tę odbył aeronauta Glaisher, który dosięgnawszy tej wyżyny, padł zemdlony w łódce i omal swęj śmiałości nie przypłacił życiem. Barometr wskazywał wtedy 24,76 centymetrów. Na lądzie największą wysokość, na jaką człowiek wzniesić się zdołał, osiągnęli słynni podróżnicy, bracia Schlagintweit, którzy w górach Himalaya dostali się na szczyt, mierzący 6882 metrów; ciśnienie barometryczne wynosiło 32 centymetry. Najwyższa góra na globie ziemskim, Gaurisankar, ma 8840 metrów wysokości, tyle właśnie, ile Glaisher przebył w balonie.

Organizm ludzki nie może bezkarnie znosić takich zmian ciśnienia atmosfery. Wprawdzie pobyt w górach niezbyt wysokich, jak np. w Jura, lub na stokach Tyrolu, zdaje się wpływać tak korzystnie na zdrowie mieszkańców, że z najdalszych zakątków Europy tłumy podróżnych przybywają w te okolice, w celu pokrzepienia nadwątłego organizmu; wprawdzie płaskowzgórze Meksyku, wyższe od gór wspomnianych, przedstawia warunki klimatyczne uznane powszechnie za zbawienne dla cierpiących na płucę; wszelako bystry spostrzegacz, doktor Jourdanet, dowiódł że obok warunków sprzyjających dla zdrowia, pobyt w górach i w następstwie tegoż zmniejszenie się ciśnienia atmosferycznego, podkopuje siły organizmu. Wszystkim zaś wiadomo, że na znacznych wysokościach każdy wędrowiec podlega przypadłościom chorobliwym, których spotęgowanie jest różne, stosownie do organizmu i do okoliczności, lecz które nie ominęły ani jednego z tysięcy podróżnych, zwiędzających Alpy, Pireneje, Andy lub Himalaje.

Pierwszym symptomatem owych przypadłości jest znużenie, zbyt wielkie w stosunku do drogi przebytej i wysilenia fizycznego; zdaje się wędrownikowi, że dźwiga u każdej nogi kulę armatnią, potem oddech staje się krótki, ciężki, przyspieszony, tętna uderzają prędkiej i silniej, serce bije niezależnie od pulsu i jego uderzenia powtarzają się, jak echo, w skroniach i całej głowie. Wkrótce potem pojawia się szum w uszach, zawrót głowy, chwilowa ciemność przed oczami i osłabienie ogólne tak silne, że podróżny musi się zatrzymać, czując że mu grozi zemdlecie. Równocześnie zjawiają się nudności, często i wymioty; i dlatego to słabości tej, podobnej do choroby morskiej, nadano charakterystyczną nazwę „choroby górskiej.“

W chwili ukazania się pierwszych symptomatów, krótki, kilkominutowy odpoczynek usuwa je zupełnie, siły wracają natychmiast, a tętno przybiera cechy normalne. Jest to dowód, że owe przypadłości nie są następstwem zwykłego znużenia fizycznego. Natomiast na większych wysokościach, gdy pojawiają się symptomata groźniejsze, jak np. krwotoki z nosa i ust, spoczynek już nie jest zdolny przywrócić wędrowcowi stanu zdrowia normalnego. Lecz i wtedy zaniechanie ruchu fizycznego przynosi ulgę; wszyscy podróżni jedno-

myślnie zgadzają się na to, że przypadłości mniej są groźne i pojawiają się później, gdy, zamiast odbywania drogi piechotą, jedzie się na osle, unikając przez to znużenia; na wysokich zaś płaszczyznach Himalai ruch fizyczny tak dalece wpływa na spotęgowanie symptomatów, że chód przyspieszony, wdrapywanie się na pagórek, choćby najmniejszy, dźwiganie jakiegokolwiek ciężaru, natychmiast wyczerpuje siły i niekiedy o śmierć przyprawia.

Brak znużenia zatem jest przyczyną, że aeronauci mogą bezkarnie wznosić się do takich wyżyn, jakich wędrownik pieszy nigdy dosięgnąć nie zdoła. Od czasu w którym Montgolfier, urzeczywistniając wiekowe popędy ludzkości, podał czło wiekowi sposób zwalczania siły ciężkości, przykuwającej go do ziemi, wielu odważnych aeronautów wzniosło się daleko po za chmur granicę i wszyscy jednoznacznie twierdzą, że dopiero na wysokości 6000 metrów doświadczają zaczętnych symptomatów podobnych do choroby górskiej.

Na ziemi natomiast przypadłości owe zjawiają się w sferach daleko niższych; lecz i w tym razie znaczną różnicę stanowi szerokość geograficzna. W Alpach pierwsze wyraźne oznaki słabości pojawiają się na wysokości 3000 metrów, w Boliwii i Peru podróżnik doświadczają ich, przeszedłszy wierzchołki Andów, wyższe nad 4000 metrów; w Kordylierach podróżników lub na Himalai objawy te występują na wysokości 4500 do 5000 metrów. Wogóle zjawiają się one nieco powyżej granicy wiecznych śniegów; wpływ temperatury, pominiawszy usposobienie indywidualne, jest również bardzo widoczny.

Podróżnicy, badacze i lekarze w najrozmaitszy sposób starali się wyjaśnić te dziwne i groźne objawy. Krajowcy przypisują je wpływowi istot nadziemskich. Tak np. mieszkańcy gór Ararat, lub Kilimandżaro wierzą w ducha gór, który zbyt śmiałych wędrowców, chcących przeniknąć tajemnice jego państwa, karze śmiercią. W Andach mówią że powodem choroby są wyziewy metaliczne, zwłaszcza antymonu, zwanego tam *soroche*, zkad i miano słabości pochodzi. Indyjanie z Himalai są przekonania, że źródło choroby leży w trujących wyziewach traw, mechów i kwiatów. Zostawiając na boku te i tym podobne przesady, zwróćmy się do badań naukowych.

Pomiędzy teoriami napozór poważnemi, lecz niewytrzymującemi krytyki, wymienić należy jedną, która była przyjęta powszechnie i zyskała poparcie wielu mężów nauki, a między innemi i Saussure'a. Wiadomo że atmosfera na każdy centymetr kwadratowy powierzchni prze ciśnieniem jednego kilograma (dokładnie: 1 kil. 30 gramów). Pomnożywszy tę liczbę przez powierzchnię ciała ludzkiego, dochodzimy do cyfry olbrzymiej, wynoszącej średnio 15,000 kilogramów. Twórcy teorii mówią, że ciało nasze jest w równowadze z tém ogromnym ciśnieniem, że gdy ono się zmniejszy, wtedy na powierzchni ciała powstaje zjawisko podobne do tego, jakie spostrzegamy po przystawieniu bańki chirurgicznej: funkeye serca nie mają przeciwwagi, a ztąd uderzenia krwi, krwotoki z błon szluzowych i skóry, ztąd porażenia mózgowie, siność twarzy i t. d.

Dziwić się należy, że ludzie zajmujący pierwszorzędne stanowiska w dziedzinie wiedzy, mogli przyjąć teorię tak niezgodną z zasadniczymi prawami fizyki. Cóżby się z nami działo, gdybyśmy rzeczywiście musieli dźwigać ciężar 15,000 kilogramów i gdyby każda zmiana barometryczna ujmowała nam lub obciążała nasze barki brzemieniem stu i więcej kilogramów? Na szczęście, mówią owi teoretycy, tkanki ciała naszego są prawie absolutnie nieściśliwe i dlatego nie podlegamy ani zgnieceniu pod tym olbrzymim ciężarem, ani też rozszerzeniu się gwałtownemu we wszystkich kierunkach, jak jedno bowiem, tak drugie sprowadzałoby fatalne dla naszego organizmu następstwa.

(Dokończenie nastąpi.)